N. 35. WARSZAWA d. 19 (31) Sierpnia ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Ze Wspomnień kobiety powieść oryginalnie napisana przez Marję Dekalk.—Spotkanie u gwiazdy, komedja w jednym akcie, Leona Gozlan (tłomaczona z francuzkiego).—To i owo.—Tricotrin przez Ouida studjum z literatury angielskiéj przez Walerją Marrené.—Przegląd literacki.—O Trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanicznych.—Różne wiadomości.—Miłość Dziewicy opowiadanie z wypadków prawdziwych.—Przytem dodatek z drzeworytami.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marję Dekalk.

(Dalszy ciąg.)

Po kilku godzinach samotnéj rozwagi, przyszłam do przekonania, że w istocie musi się kryć coś ważnego w tajemnicy owego listu, kiedy małe na pozór zdarzenie tak bardzo potrafiło nas poróżnić.— Czułam, że między mną a Jarosławem wzniosły się straszne zapory, mur chiński nieufności wzajemnéj, i znów łamałam ręce pytając: czemu się tak stało, kto zawinił, kto powodem tych utrapień jakie Bóg na nas zesłał tak wcześnie?.

Zadrżałam gdy mię wezwano do obiadu.—Trzeba było jednak pójść i odgrywać daléj swoją rolę gospodyni domu. Przy końcu obiadu Jarosław powiedział głosem bez dźwięku najmniejszéj czułości:

— Należy nam dotrzymać obietnicy danéj wczoraj. Jedź karetą wcześniéj, a ja późniéj konno przybędę do Woli!

— Dobrze!—odparłam—a po cichu powtórzyłam sobie: nie chce jechać ze mną razem.

Jakże nieznośnym był ten obiad! Gorycz napełniająca serce nie dozwalała mi jeść cokolwiek, i Jarosław udawał tylko że je.

Rozeszliśmy się bez skinienia głową, nie patrząc prawie na siebie.—Z boleścią powróciłem do swego pokoju aby się ubrać. Mimowoli przywdziałam suknię czarną; na mojéj twarzy wypiętnował się niepokój bladością i sinemi obwódkami około oczu. Kareta zaszła.

Przechodząc przez salon pożegnałam Jarosława wymuszonem „do widzenia”, ale nie odebrałam na to żadnéj odpowiedzi. Już miałam wyjść, gdy nagle siły mię zawiodły. Jednym rzutem znalazłam się obok Jarosława, i chwyciłam jego ręce wołając:

— Nie! tak być nie może!

Drgnął, usta jego po razy kilka otwarły się nie wydawszy głosu, a rękę machinalnie zwrócił do boku, gdzie może krył się nieszczęsny list. Ale trwało to chwilę tylko,—wkrótce zapanował nad sobą i pocałowawszy mię tylko rozpalonemi jak pochodnie ustami, rzekł:

— Jedź Janko! jedź!...

— To za mało! nam trzeba mówić wiele! porozumieć się!... mówiłam p asując się z sobą.

— Nie wiem czy to możebne!.. Jedź Janko!.. powtórzył Jarosław z takim wyrazem bólu, że z płaczem wybiegłam z pokoju.

Łatwo pojąć, w ja kiem usposobieniu wstępowałam w progi domu rodziców mego męża.

Już zdala dobiegła mię wrzawa rozmowy, muzyki i śmiechów wesołych. Szłam jakby na męczarnię, a pierwszą istotę jaką spotkałam, była Dosia. Snać smutek jéj został pocieszony, bo oczy jéj śmiały się wesoło na wyścigi z ustami; lśniące zwoje żółtego bareżu wlokły się za nią daleko, nie osłaniając za to wcale ramion, z których stanik zdawał się opadać niedbale. Ale piękne loki były zebrane nad czołem w djadem przepinany gałązką żółtéj róży, kilka tylko spływało po białéj szyi nieozdobionéj niczem. Strój podniósł niezmiernie wdzięki kuzynki Dosi. Mimo że zastałem wiele osób, i pań poubieranych z wielką elegancją było kilkanaście, ona bezwątpienia miała co do urody pierwszeństwo.

Matka witając mię, spojrzała badawczo na twarz moją, a potem na suknię czarną z lekkiego materjału bez połysku, skromnie przybraną i zapiętą pod szyję. Przy świetnych strojach szacownego zgromadzenia, mój był prawie niestosowny. Stałyśmy jeszcze we drzwiach salonu; matka skinęła na Dosię, a nim ta przyszła, powiedziała do mnie trochę łagodniéj niż zazwyczaj:

— Zanadto jesteś skromnie ubrana. Żałuję że nie dałam znać o dzisiejszem zebraniu, ale dotąd prawie zawsze strój twój był najwykwintniejszy, więc nie sądziłem, aby dziś było inaczéj.

— Mama wybaczy... wyjąknęłam zmieszana.

— Ja się nie gniewam, moja droga, ale trzeba się przebrać. Dosiu! zawołała półgłosem na podającą mi obie rączki kuzynkę: masz klucze od mojéj szafy, komody i szkatułki, weź Jankę do mego pokoju, i ustrój ją jak będziesz mogła najlepiéj. Że ci się powiedzie nie wątpię,—znajdziesz zapasy, z których twój gust wybierze coś stosownego.

— Spuść się na mnie, ciociu!.. odparła młoda elegantka—za godzinę Janka będzie przestrojoną zupełnie;—ale czemu tak skromne dziś wzięłaś ubranie? La déesse en deuil!.

— Nie wiedziałam o zebraniu!—rzekłam gryząc usta;—lecz czy nie mogłabym tak pozostać?...

— Niepodobna!—zawyrokowały stanowczo obie panie, i Dosia chwyciwszy moją rękę powiodła mię do sypialni matki, gdzie nucąc wesoło, zaczęła przerzucać między ubraniami, kwiatami i przyborami tualetowemi.

Milcząca patrzyłam na te przygotowania, które mi najwyższą sprawiały przykrość, ale kuzynka wzięła się do dzieła i pomagając mi do zdjęcia mojéj wzgardzonéj czarnéj sukienki, żartowała coś bardzo dowcipnie z gości dzisiejszych, przedstawiając ruchy i mowę przesadnéj pani w taki komiczny sposób, że musiałam się rozśmiać z jéj miny.

Jéj wesoły szczebiot nie ustał na chwilę, i w końcu tak mię rozbroił, że ożywiłam się także, zapominając w części o troskach moich ciężących na sercu. Nie uważałam prawie jak mię ubierała,—dopiero gdy Dosia tryumfująco przyprowadziła mię przed lustro, cofnęłam się nie poznając siebie.

Stanik od mojéj biednéj sukni został wycięty głęboko, rękawy znikły, tylko czarne koronki sztucznie upięte pokrywały go całkiem, nie dozwalając rozpoznać materjału z jakiego był zrobionym. Jedwabna z ogromnym ogonem spódnica, miała także tunikę z pysznych koronek przepiętą białemi narcyzami z liśćmi. Na rękach i szyi były śliczne perły.

A głowa moja napiętrzona w massy splotów, pukli, przeplatanych perłami, z fantazyjnym lokiem za lewem uchem, przytwierdzonym narcyzem, czyż rzeczywiście należała do smutnéj, cichéj Janki, nie zaś do najstrojniejszéj modnisi wielkiego świata.

— Coś ty ze mnie zrobiła, Dosiu?!.. zawołałam zarumieniona.

— Une enchanteresse!

— Ale jakże ja tak pójdę pomiędzy ludzi!.. przynajmniéj nasuń koronki, bo ten strój jest.... nieprzyzwoity!..

Dosia upadła na kanapkę w gwałtownym paroksyzmie szalonego śmiechu.

— Ani fałdu nie poruszę!.. rzekła nakoniec, jesteś zachwycającą! Czy mój ubiór wydaje ci się przyzwoitszym?

— Oh nie! odpowiedziałam.

— Ha! ha! a przecież jeszcze mam stanik o wiele mniéj wycięty, niż wszystkie panie znajdujące się w salonie! Ha! ha! jakie z ciebie dziecko!.. śmiała się błyskając ząbkami.

— Ale kiedy w tem uczesaniu, w tym ubiorze, jest coś... coś... tak...

— Wabiącego! czarownego! przekonasz się! dokończyła Dosia. Zapewne po raz pierwszy jesteś na zebraniu większem?

— Rzeczywiście, raz pierwszy!

— No! to się można nie dziwić wrażeniu, ale ręczę że po karnawale, żaden strój już razić cię nie będzie.

— Czy będą tańczyć? spytałam.

— Naturalnie! Jakimże tonem żałosnym robisz to pytanie? Sądzę że i ty tańczysz?

— Tańczę, ale dziś, doprawdy, nie mam ochoty.

— Co znowu! no, chodź do salonu, przeczysty aniele! rzekła Dosia rzucając na mnie takie dziwne wejrzenie, że cała stanęłam w płomieniu rumieńca.

— Dosiu! nie patrz tak, bo się ciągle czerwienić będę, powiedziałam zasłaniając twarz rękami.

— Czy tylko Jarosławowi ten przywiléj dozwolony? O, piękna pani! nic nie pomoże, dużo oczów będzie cię dziś ścigało, wiele ramion otoczy cię czułem ujęciem i przyciśnie do swéj piersi!...

— Co ty mówisz?.. zawołałam.

— No, nie ma w tem nic zdrożnego! Stanie się to w obec wszystkich w walcu, odparła nieubłagana Dosia podając mi wachlarz, a teraz rumień się bo ci z tem ślicznie, spuszczaj oczki i chodź do salonu! Śmiech jaki towarzyszył tym słowom był złączony z lekkiem zgrzytaniem. Przyzwyczajenie to zawsze mię przejmowało dreszczem.

Weszłyśmy do salonu. Pozapalano liczne światła, grono postrojonych pań i panów zajęło miejsca w malowniczych grupach. Widok tego świetnego towarzystwa był dla mnie nieprzyzwyczajonéj do zabaw i zebrań, uroczym i zajmującym. Westchnęłam cicho nad nieobecnością Jarosława, ale dumania moje rozproszyły się wkrótce pod wpływem wesołéj i lekkiéj gawędy. Między zebranymi, miałam już wielu znajomych. Niedługo po wejściu naszem, kanapka, którą zajęłyśmy obie, została otoczoną przez młodych panów. Dosia była dziś w wybornym humorze, wciąż żartowała i śmiała się swoim szczególnym śmiechem; co do mnie, rumieniłam się pod wejrzeniami i dziwiłam się prawdziwemu oblężeniu jakiemu uległa nasza kanapka.

Wielbiciel młodych mężatek znalazł się także tuż przy mnie, powtarzając swoje niewyczerpane koncepta. Było mi duszno i ciężko w téj atmosferze, nie mogłam tak śmiało i swobodnie patrzeć jak Dosia, i coraz bardziéj czując się zmięszaną odpowiadałam nieprzytomnie.

Najbliżéj mnie stał Amilkar. Ten nie wiele ze mną mówił, ale mdławem spojrzeniem często szukał moich oczu, do reszty wprawiając mię w nieśmiałość. Gładkie a drażniące słowa komplementów, obijały się wciąż o moje uszy.

Spojrzenia, wyrazy, uśmiechy, wraz z wonią jakiegoś upajającego zapachu, którym była zawsze przejęta Dosia, ogarnęły mię, niby niewidzialnem kołem czarnoksięzkiéj mocy ścieśniającem się coraz więcéj, duszącéj mię, sprawiającéj przykrość bez wyraźniéj przyczyny. Byłam oszołomioną, olśnioną; tchu mi zabrakło, podniosłam oczy, szukając ratunku. Nie wiem czy mój stan duszy został spostrzeżony lub odgadnięty, lecz w téj chwili tłum mężczyzn rozstąpił się z uszanowaniem, a przedemną stanęła wysoka, wątła postać pani Karoliny.

— Witam panią! rzekła podając mi rękę, jakże dawno cię niewidziałam. Zapomniałaś pani o choréj sąsiadce!

— Oh! nie zapomniałam, odparłam z serdecznem uczuciem, ściskając jej rękę. Wybierałam się razy kilka do pani, i z pewnością niedługo stawię się aby powetować jéj łaskawą wymówkę.

Jak tylko pani Karolina usiadła obok mnie na miejscu jowialnego jegomości, postać rzeczy zupełnie się zmieniła. Kilku panów odeszło, inni mówili mniéj, a ja odzyskałam straconą przytomność. Z uwielbieniem i wdzięcznością patrzyłam na bladą i łagodną twarz mojéj wybawicielki.

— Towarzystwo pań zmniejsza się, może nie jesteś zadowolnioną, że przerwałam tak żywą rozmowę mojem przybyciem? zapytała badawczo pani Karolina...

— Oh! droga pani, niewierzysz jak jestem ci wdzięczną! Pani nie wiesz nawet, do jakiego stopnia byłam przed chwilą znużoną i pomięszaną. Tu taki chaos!.. rzekłam z szczerością zupełną.

— Nic dziwnego! pojawiłaś się na tutejszym horyzoncie, młodziuchna, ładna, świeża jak kwiatek. Ustroiłaś się przytem bardzo gustownie, więc młodzież nie obojętnie spogląda i prawi grzeczności, mówiła uśmiechając się dobrotliwie.

— Kiedy... mnie to męczy, odrzekłam nieśmiało.

— Tem lepiéj dla pana Jarosława i dla ciebie saméj. Gdym cię po raz pierwszy ujrzała, pomyślałam odrazu, że nie będziesz miała upodobania w powodzeniu salonowem, i to mię skłoniło dziś do przyjścia ci w pomoc. Tak lubię i szanuję twego męża, że nieznając jeszcze, polubiłam cię z jego opowiadań. Dla tego wybacz mi, że wbrew etykiecie, nie mianuję cię panią jakby należało, zdaje mi się że do mojéj należysz familji!..

— Dziękuję pani serdecznie, nie mogę dosyć znaleźć wyrazów na złożenie jéj mojéj podzięki! zawołałam podnosząc do ust rękę, któréj mi broniła. Po raz pierwszy nie uczułam się tutaj obcą... dodałam ciszéj.

Pani Karolina spojrzała na mnie uważnie, ale nim przemówić zdołała, zabrzmiała polka grana przez jednę z poważniejszych dam, i Amilkar poprosił mię do tańca.

Teraz dopiero spostrzegłam że Dosia dawno nas opuściła. Stała w drugim końcu salonu, szarpiąc w ręku gałązkę żółtéj róży, wyjętéj z obok stojącego na marmurowéj konsoli bukietu.

Taniec, to przyjemność niezrównana, nieujęta, któréj urokowi trudno się oprzeć. Tańczyłam też bardzo wiele, z tak serdecznem życiem, że nawet nie spostrzegłam Jarosława, siedzącego samotnie w kącie salonu. Właśnie na zakończeniu kontredransa. podawałam w tour des mains Amilkarowi rękę, gdy ujrzałam mego męża z głową o ścianę opartą, z czołem zmarszczonem i ustami zaciętemi. Zatrwożyłam się nieco i postanowiłam zaraz po skończeniu tańca pójść z powitaniem. Lecz uprzedziła mię Dosia, która przystąpiła szybko do niego i wyrzekła cicho kilka wyrazów. Potem odbiegła obrzucając go listkami żółtéj róży. Jarosław zagryzł wargi i widziałam że pobladł wyraźnie. Robak podejrzeń ukłuł moje serce, wszystkie cierpienia stanęły żywo przed oczyma... Walcząc jednak z sobą, przybliżyłam się do Jarosława i położyłam mu rękę na ramieniu.

— Nic mi nie powiesz?.. rzekłam z żalem.

— Czy chcesz abym ci powtórzył to co ci musieli mówić po tysiąc razy, żeś dziś piękna, zachwycająca? Po co mego zasięgać zdania?—To już zbyteczne przy tylu hołdach! wyrzekł gorzko Jarosław.

— O, mój Boże! czyż gniewasz się na mnie za strój mój?—Nie jest on mojem dziełem!..

— Ja! gniewam się?—Ależ Janino, zapominasz żeś już przestała być dzieckiem i o gniewie nigdy mowy być nie może.—Uwielbiam, podziwiam wdzięki i gust wcale mi dotąd nieznany!..

— Nie szydź!—zawołałam, nie wiesz może, iż strój mój jest dziełem kuzynki Dosi...

Drgnął i spojrzał na mnie szeroko rozwartemi źrenicami.

— Dosia cię ubierała?—spytał głucho.

— Tak!—teraz już nic nie zarzucisz, nieprawdaż? szepnęłam zazdrośnie.

— Ale tyś chętnie pomoc w przybraniu przyjęła?

— Zmieniasz kwestję,—tu o tém była mowa, że moje ubranie nie podobało ci się, a teraz dowiedziawszy się czyim zrobiono gustem, pragniesz cofnąć zarzuty!..

— Janko! Janko! co ty mówisz? rzekł Jarosław biorąc moją rękę.

— Ah! nie rozumiesz mię?—Tém lepiéj, ale bądź przekonany, że wcale nie mam zamiaru zaniedbania się dla tego, że ty chcesz, aby jedna tylko istota była strojną i piękną.—I ja..

— I ty chcesz być strojną i piękną?—Jesteś nią, wymówił Jarosław puszczając nagle moją rękę, ale nie dla mnie, bo ja inny wdzięk cenię i wielbię w kobiecie.—O! Janko moja w niebieskiéj prostéj sukience, i złotych warkoczach.. gdzieżeś się mi podziała! zawołał cicho ale boleśnie.

— Jestem tu, ale czyż obok mego dawnego Jarosława?.. rzekłam ze łzami.

— Nie! to nie ty—odparł mierząc mię przeciągłem spojrzeniem, a potem dodał:

— Cztery miesiące upłynęły od ślubu naszego,—jakaż zmiana? Do czego myśmy już doszli?

Że nie upadłam rzucona rozpaczą, że nie załamałam rąk łkając w szale dzikiéj boleści, to dla mnie zagadka nierozwiązana. Chyba stróż anioł podtrzymał me siły. Chwiałam się stojąc przy marmurowéj kolumnie, o którą Jarosław oparł znowu czoło. Bezwiednie szeptałam: mój Boże! mój Boże!

— Służę pani! zawołał Amilkar,—tańczemy w pierwszą parę. Tańczysz pan? zwrócił się do Jarosława.

— Nie!—odparł krótko.

— Jarosławie! tańcz w drugą parę, tak wypada odezwała się matka.

— Nie tańczę.

Kilka znajomych osób porobiło różne żartobliwe uwagi bardzo mi niemiłe—Jednak machinalnie za

częłam tańczyć, mimo że jakiś zawrót czułam w głowie.

Długa figura wymagała chwilowego odpoczynku dla damy, z którą po kolei po przejściu zwanem z motylkiem, każdy z czterech panów tańczących w téj figurze, tańczył mazura. Podano mi krzesło—usiadłam odwrócona od pań siedzących na kanapie, które sądząc zapewne że nikt ich rozmowy nieuważa, mówiły półgłosem:

— Może dla tego nie tańczy?

Ale zdaje mi się, że jego żona ładniejsza od téj marjonetki?...

— Ja nie wiem jak dalece to jest prawdą, ale słyszałam że oni się bardzo kochali, jeszcze za życia męża pani Doroty.

Tak, tak, niezawodnie, to pierwsza miłość pana Jarosława. Ale czy dziś co z tego pozostało, to trudno wiedzieć.

— Widocznem jest... zaczęła pierwsza dama—lecz już nie słyszałam jéj słów. Ciemno mi się zrobiło przed oczyma,—chciałam powstać, siły mię opuściły i bez przytomności osunęłam się na posadzkę.

Oblana wodą otwarłam oczy. Mnóstwo osób stało około mnie. Matka rozcierała wodą kolońską moje skronie, Jarosława nie było w pokoju.

— Przychodzi do siebie, powiedziała matka,—ale gdzież Jarosław?

— Nie wołajcie go!—szepnęłam. Matka uśmiechnęła się, mówiąc:

— Dlaczego? Już ci teraz dobrze, nie zlęknie się tak jak my, gdyś leżała bezwładna i blada jak kreda.

— Słabo mi się zrobiło!.. wymówiłam, podnosząc się z trudnością z kanapy na którą mię złożyli.

— Zbyt wiele tańczyłaś. Chodź do mego pokoju, rzekła matka i poprowadziła mię do siebie.

Poszłam bez oporu. W milczeniu siedziałam na łóżku, błędnie patrząc przed siebie.

— Janko! przybył posłaniec z Klonowa, bo matka twoja przyjechała! rzekła pani Karolina wchodząc do pokoju.

— Mateczka!.. krzyknęłam zrywając się.

— Ale czy ci już zupełnie dobrze, moja droga?

— Dobrze już, w uniesieniu chwyciłam ręce pani Karoliny, cisnąc je do ust gwałtownie.

— Uspokój się, mówiła całując moje czoło, i nie róbże mię tak starą, przecież jeszcze nie mam czterdziestu lat.

— Mateczka przyjechała! odezwał się Jarosław, szukam cię Janino wszędzie! Czy zaraz jedziesz?

— Ty się pytasz? rzekłam z wyrzutem—i drżącemi rękami owijałam się szalem.

— Otulże pan dobrze swoją gołąbkę, wymówiła, żegnając mię w sieni pani Karolina. Jest jeszcze osłabioną po zemdleniu i rozrzewnioną bardzo!

— Tyś zemdlała?.. Janko! tyś zemdlała?.. pytał Jarosław zdziwiony, znać niewiedząc o tem wcale.

Nic nieodpowiedziałam i wsiadłam szybko do powozu. Jarosław stanął przy drzwiczkach.

— Pani nas opuszcza! quel malheur! zawołał Amilkar zjawiając się nagle.

— Matka moja przyjechała! Dobranoc, odparłam.

— Do widzenia!.. ah! a nasz mazur?..

— Którakolwiek z pań zastąpi mię!..

— Oh, nie! i ja już nie będę tańczył, rzekł grzeczny Amilkar. Jarosław nagle zamknął drzwiczki, sam zawołał aby mu podano konia, i dał znak furmanowi, aby jechał nie czekając na niego.

— Niegrzeczny! ozwał się głosik z ganku. Dobranoc, moja droga,—poznałam po tym dodatku Dosię.

Złożyłam płonącą głowę na poduszkach karety i płakałam boleśnie.

Dlaczego oboje znajdowaliśmy w sobie taką zmianę? Co jest powodem tych przykrych nieporozumień?—Miłość dla Dosi! szepnął mi głos wewnętrzny. Nie ma wątpliwości, podejrzenia są prawdziwe, między nimi istniał serdeczny stosunek, a może u Jarosława istnieje dziś jeszcze. Straszne obrazy przechodziły mi przez głowę, uprzytomniłam sobie słowa Dosi, Amilkara, nakoniec samego Jarosława, i zostawiwszy je utwierdziłam w mojem przekonaniu. Łzy mi obeschły z nadmiaru cierpienia, ale zdawało mi się, że całe życie będę wołać z rękami załamanemi. Oh! biada! biada mi! biada!..

Gdy się znalazłam nakoniec u stóp mateczki, gdy ona chwyciła mię w swoje objęcia, to taki jęk głębokiego płaczu wydobył się z méj piersi, że mateczka przelękła się niezmiernie.

— Marjanie! Jarosławie! dajcie wody. Och! Janko moja najdroższa, mój aniele, czemu ty płaczesz zamiast cieszyć się naszem przybyciem? mówiła biedaczka tuląc mię rozpłakaną do swéj piersi. Ale Jarosława jeszcze nie było. Przyjechał już wtedy, gdy stłumiwszy ból i jęki, zdobywałam się na uśmiech naśladujący radość i swobodę.

— Dziwna rzecz, jak u ciebie objawy szczęścia do okazania smutku podobne, rzekł mój drogi braciszek patrząc mi w oczy uważnie. A przecież ty jesteś szczęśliwą?..

— O tak! odparłam po raz pierwszy kłamiąc przed bratem, lecz za nic nie byłabym odkryła stanu mego serca.

Mimo serdecznego do matki i brata przywiązania, ich obecność wiele mi sprawiła przykrości. Oboje z Jarosławem byliśmy zmuszeni odgrywać rolę; mnie serce drgało konwulsyjnym bólem, gdy oni żartowali sobie wesoło, gdy mąż mój zapewne z obowiązku swéj roli przybliżył się do mnie, lub obdarzył mię pocałunkiem. Ja go kochałam tkliwie, namiętnie, taki stosunek ranił mię, choć często sprawiał rozkosz niewysłowioną, bo musiało, wprawdzie tylko pozorne, nastąpić zbliżenie. Nie byłam od niego odłączoną, a czułam, że bez jego miłości i pieszczoty żyćbym nie potrafiła!..

I on ilekroć przybliżył się do mnie, był wzruszony, oczy błyszczały mu dziwnem światłem, choć usta drżały bólem czy innem niepojętem mi uczuciem. Widziałam, że często, siedząc w kącie pokoju, śledził oczyma każdy mój ruch, i twarz jego miała wyraz naprzemian łagodny i ponury. Niekiedy budząc się ujrzałam go pochylonego, wpatrzonego we mnie ze szczególnem wejrzeniem tkliwości i smutku, ale gdy tylko spostrzegł, że nie śpię lub że spostrzegłam jego zajęcie, zagryzał usta z miną obojętną i odwracał się, nie mówiąc słowa. Tak płynęły dnie, tygodnie, i tak zeszedł cały jeden miesiąc, którego każda godzina zdawała mi się coraz bardziéj smutną i ciężką.

Byliśmy wszyscy z wizytą u rodziców. Przyjęli nas z wielką uprzejmością, ale na Mateczce i Marjanie chłodna surowość wypiętnowana w ich twarzach niemiłe sprawiła wrażenie. Wracaliśmy w milczeniu, bo żadne z nas nie mogąc mówić prawdy, wolało nic nie mówić. Ponieważ matka mego męża była nieco słabą, wcześnie wyjechaliśmy z Woli, i dopiero słońce chyliło się ku zachodowi, kąpiąc się w mgle różowych obłoków, gdyśmy już dojeżdżali w połowie drogi do posiadłości państwa Karoliny. I pomyślałam z uwielbieniem o istocie wątłéj ciałem ale wielkiéj i wzniosłéj duchem, która tam mieszkała, gdy nagle na zakręcie spotkaliśmy odkryty powóz, a w nim poznałam moją drogą panię Karolinę. Skinęłam na furmana i wyszłam z powozu, aby ją powitać.

(d. c. n.)

SPOTKANIE U GWIAZDY

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,

Leona Gozlan

(tłomaczona z francuzkiego).

(Dokończenie.)

Scena VI.

CIŻ, (panna Perceval, w eleganckiem rannem ubraniu zwolna otwiera drzwi swego pokoju.

P. PERCEVAL, (pół głosem.) Ah! jeszcze tutaj. Nie omyliłam się... ten hałas który słyszałam... i śpią obydwa. Nie ma wątpliwości, musieli zrobić zakład, że u mnie noc przepędzą. O tak niezawodnie zakład! (grożąc palcem) No, jeszczeście go nie wygrali.

(Clifford i Montgomery ciągle chrapią, p. Perceval zbliża się powoli i przypatruje się im.) Obaj bardzo przyjemni. (Clifford raptem mocno chrapnął, p. Perceval cofa się wolno.) Jednak ten... (Chce wyjść, ale przyszedłszy do drzwi swego pokoju, zatrzymuje się z uśmiechem. Przechodzi między tualetą i fotelem Montgomerego, i z lewéj strony przy nim zostawia pantofelek. Potem przechodząc za niemi zostawia drugi koło Clifforda z prawéj strony, następnie zbliża się na środek sceny, pokazując pantofelki.) Otóż macie panowie moje bilety wizytowe. (Do Clifforda) Nie, nie wygrasz twego zakładu. (do Mongomerego) Nie, nie przepędzisz nocy pod dachem gwiazdy, jak mnie nazwałeś.... (Wchodzi do swego pokoju.)

MONTGOMERY, (do siebie, po kilku chwilach donośnego chrapania, to mocniéj, to ciszéj.)

Clifford śpi mocno... a więc teraz czas... (Wstając nadeptuje pantofelek.) Pantofelek..... ah. to ten sam... to jéj... przyszła i zostawiła tu, abym go odniósł tam.. (Pokazuje na pokój sypialny, potem z największą ostrożnością zbliża się do Clifforda i mówi mu cicho.) Siedź sobie w fotelu, choćby do jutra!.... (Na palcach zbliża się ku pokojowi p. Perceval.)

CLIFFORD, (budzi się, podnosi pantofelek i mówi z żywością.) Rozumiem, idę go włożyć na jéj cudowną nóżkę. (Postrzega Montgomerego, który już zbliżył się do drzwi.) Ah! nędznik, on nie spał! (Zatrzymuje go za połę od sukni, w chwili kiedy już miał przestąpić próg. Potem odprowadza na środek, chwilę patrzą, na siebie oko w oko.) Czy jesteś w śnie magnetycznym, mylordzie?

MONTGOMERY. Tak, od najmłodszych lat..... A pan?

CLIFFORD. Ja dopiero w dojrzałym wieku.... Ach jesteś w śnie magnetycznem.... czy jesteś jasnowidzącym?

MONTGOMERY. A jakże!

CLIFFORD, (bierze go za ręce, patrzy mu znowu w oczy, i robi pociągi jak magnetyzerowie.) A więc powiedz mi, co widzisz tam w pokoju?

MONTGOMERY. Gdzie?

CLIFFORD. Tam za portierą.' (Montgomery odwraca głowę.) Nie patrz, wszak jesteś jasnowidzącym.

MONTGOMERY, (robi nad nim pociągi prawą ręką.) A ty mylordzie, cóż widzisz?

CLIFFORD. Ja.... nie widzę tam pana jeszcze.

MONTGOMERY, (śmiejąc się.) Trzeba przyznać, mylordzie, że jesteśmy przeciwnicy godni siebie. Oba równie uparci, pełni pomysłów: przekonywam się, że między nami walka jest trudną, zwycięztwo niepodobnem. (Na stronie przechodząc na lewo.) Co się odwlecze, to nie uciecze.... mam pantofelek.

CLIFFORD, (na stronie) Gdyby wiedział, co ja mam! (Pokazuje publiczności pantofel, który chowa w kieszeń od sukni, przechodzi na prawo głośno). Najpokorniéj dziękuję ci, mylordzie, zz zaszczyt jaki mi robisz porównywając mnie z sobą, ale czy wolno mi zapytać, do czego to ma doprowadzić?

MONTGOMERY. (bierze z toalety kapelusz Clifforda i przechodzi koło niego na prawo.)

Naturalnie..... Już dnieje, porzućmy tak bezowocne pole bitwy... Niech nikt nie zna naszéj przygody. Pan nic nie mów, i ja nie wspomnę o tem, w tak zawziętéj walce cofnięcie się nie będzie ucieczką. Podajmy sobie ręce i wyjdźmy z podniesioną głową... (Otwiera drzwi.) Czy zgadzasz się, mylordzie? Jeżeli tak... to wychodź!

CLIFFORD (który odstąpił parę kroków.) Zwodzisz mnie pan, ofiarując niepodobne zawieszenie broni. Dwa kroki nas przedziela.... (Montg. stoi na progu) a i w tych jest niezawodnie ukryta zdrada. Oznajmiłem już, że nie wyjdę ztąd przed panem, teraz raz jeszcze powtarzam, daję słowo honoru przysięgam że chyba jakaś przyczyna, nieprzewidziana, nieprzezwyciężona, mogłaby mnie zmusić do tego, bo inaczéj powtarzam raz jeszcze, żywcem nie wyjdę ztąd pierwszy! (Przechodzi przed Montgom. i zbliża się do fortepianu.)

MONTGOMERY. Dobrze więc mylordzie. Przyczyna niepokonana, nieprzezwyciężona, któréj żądasz która potrafi cię zmusić, abyś wyszedł ztąd pierwszy, powód taki istnieje i poznasz go natychmiast. (Dzwoni dzwonkiem, który stoi na toalecie.)

CLIFFORD. Gadanina!

MONTGOMERY. Zobaczymy!

CLIFFORD. Nic nie zobaczę... (Zbliżając się do Mont.) Chyba, że jakie czary.

MONTGOMERY. Przekonasz się pan zaraz. (Filip wchodzi)

FILIP. Mylordzie!

MONTGOMERY, (żywo zbliżając się do niego.) Udaj się do pana Wiliama Norton, który mieszka przy ulicy Belgrave pod N. 4, i powiedz, aby tu przybył za pięć minut. (Filip kłania się i wychodzi.)

CLIFFORD. Cóż to za jeden ten pan Wiliam Norton?

MONTGOMERY. Cierpliwości!.. zobaczysz pan!

CLIFFORD. Chyba, że to jaki czarnoksiężnik?

MONTGOMERY! (opierając się o fotel, który stoi przy toalecie.) Trochę do niego podobny, z twarzy i z ubrania.

CLIFFORD, (zbliżając się o parę kroków.) I on dokaże tego żebym ztąd wyszedł?

MONTGOMERY. Tak myślę.

CLIFFORD, (zbliża się jeszcze parę kroków.) Jakże oknem, czy drzwiami?

MONTGOMERY. Będziesz miał wolny wybór mylordzie.

CLIFFORD, (toż samo poruszenie.) I to tak bez najmniejszego oporu z méj strony?

MOMTGOMERY. Mylordzie, w dojrzałym wieku jesteś ciekawy jak uprzykrzone dziecię.

CLIFFORD. Rzeczywiście wyglądam teraz jak student przed nauczycielem.

MONTGOMERY. Wszak nie ja to powiedziałem.

CLIFFORD, (stojąc przy Mont.) Mylordzie! szyderstwo zaledwie mogłoby być dozwolone temu ktoby był pewny zwycięztwa, więc tem mniéj...

MONTGOMERY. Właśnie też jestem zupełnie pewny zwycięztwa.

CLIFFORD, (na stronie.) Taka pewność... (głośno) Cóż to za hałas słychać w tym pokoju? (Biegnie ku pokojowi P. Perceval, Montgomery, zatrzymując go za połę od sukni i odciągając na środek.)

Zdaje ci się, mylordzie.

CLIFFORD. Jednakowoż!..

MONTGOMFRY. Ale nie...

CLIFFORD. Słuchaj pan. (słuchają)

MONTGOMERY. Przywidziało się panu.

CLIFFORD. (biegną ku drzwiom.) Może panna Perceval zasłabła.

MONTGOMERY, (przechodzi nagle i staje pomiędzy Cliffordem a drzwiami.) Francuzki umierają czasem, ale nie słabną nigdy.

CLIFFORD. Mylordzie, nigdy nie byłeś dowcipniejszym.

MONTGOMERY. Bo nigdy nie byłem szczęśliwszym.

CLIFFORD. W wyobraźni......

FILIP, (anonsując.) Sir Wilijan Norton.

CLIFFORD, (z zadowoleniem.) Ah!

Scena VII.

CLIFFORD, MONTGOMERY, NORTON.

MONTGOMERY. Panie Norton, jesteś upoważniony przez lorda Richard, do sprzedania tego pałacu?

CLIFFORD, (na stronie.) Prawnik!... notaryusz!

NORTON. Tak mylordzie.

MONTGOMERY. Doskonale. Jleż najwyżéj spodziewasz się dostać za niego?

NORTON. Sto tysięcy funtów szterlingów. (Montgomery wyjmuje pugilares i pisze.)

CLIFFORD, (zaniepokojony.) Jakiż mieć może zamiar?

MONTGOMERY, (wydziera kartkę z pugilaresu i oddaje Nortonowi.) Poślij to pan do Banku, a wypłacą ci 100,000 funtów a teraz siadaj pan. (Sadza go przy toalecie i opiera się na rogu twarzą do publiczności.)

NORTON. Dobrze, mylordzie. (Otwiera swój pugilares kładzie go na toalecie i wyjmuje z kieszeni kałamarz i pióro.)

MONTGOMERY, (do Nortona.) Pisz pan. „Odebrałem od lorda Mont. 100,000 funtów za hotel pięknego lorda Buckinham."

CLIFFORD. To niepodobna!

NORTON, (napisał i podpisał.) Oto jest mylordzie.

MONTGOMERY, (bierze od Nortona papier, otwiera obie połowy drzwi głównych i mówi do Clifforda. Lordzie Clifford, w imieniu prawa, nakazuję, ci abyś ztąd ustąpił.

CLIFFORD. Ależ mylordzie!...

MONTGOMERY, (majestatycznie pokazując mu akt). Poszanowanie dla prawa, mylordzie jestem u siebie.

CLIFFORD, (kłaniając się.) Mylordzie jestem posłuszny, odchodzę. Chce wychodzić, panna Perceval ukazując się na progu drzwi głównych: ubrana w eleganckiéj rannéj tualecie.)

Scena VII.

CIŻ, P. PERCEVAL.

CLIFFORD. Co widzę?

MONTGOMERY. Ty, pani!

P. PERCEVAL. Panowie widząc jak upodobaliście sobie pobyt w mojem mieszkaniu, a nie chcąc wam przeszkadzać, wychodzę oznajmić, że postanowiłam zrobić tę małą ofiarę.... i ustąpić wam. Oto klucze od szaf. (Oddaje kilka kluczyków Montgom.) Od czwartéj rana, mieszkam przy téj saméj ulicy, w hotelu Jersej, gdzie was obu panowie przyjmę z największą przyjemnością, z warunkiem jednak, żebyście nie przychodzili razem.

CLIFFORD, (śmiejąc się do rozpuku.) Doskonale! kupuje klatkę a ptaszek wylata.

MONTGOMERY (znękany.) A to niespodzianka!

P. PERCEVAL, (ścikając ręce Cliffordowi i Montgomeremu.) Żegnam was, panowie! Przyjdźcie dziś wieczór dawać mi oklaski.

CLIFFORD. Obu rękami, a teraz pozwolisz mi pani odprowadzić cię do domu.

P. PERCEVAL. (po chwili wahania.) Chętnie, mylordzie!

MONTGOMERY (na stronie.) Odchodzą razem.

CLIFFORD. Dobry figiel! Nieprawdaż mylordzie?.. Zatrzymaj pałac... bez urazy. (Clifford i P. Perceval oddalają się.)

MONTGOMERY, (zatrzymując Clifforda.) Lordzie Clifford jedno słowo. Przysiągłeś na honor na twoje słowo szlacheckie, że beze mnie nie wyjdziesz z tego pałacu!..... Gdzież twoja przysięga?

CLIFFORD (trzymając ciągle pod rękę P. Perceval.) Kazałeś mi pan wyjść... odchodzę.

MONTGOMERY, (z lewéj strony zastępuje drzwi.) Rozumiem, że twoje słowo honoru mogło ustąpić prawu... ale łamać go dla kaprysu... dla rywalizacyi w miłości....

CLIFFORD. Ależ przecie mylordzie, muszę zostać albo odejść... Rozstrzygnij!...

MONTGOMERY. Niech pani raczy rozstrzygnąć. (Clifford po chwili prowadzi pannę Perceval na środek sceny.) Nie jest już dla pani tajemnicą, że obydwa ją uwielbiamy. Jeźli pani ciebie przełoży nademnie oddalę się i wynajmę ci ten pałac na rok, na pół, jeśli to za długo. Jeśli przeciwnie mnie wybrać raczy, naturalnie wyjdziesz pierwszy, ale wtenczas nie złamiesz danego słowa, gdyż będziesz do tego znaglony przyczyną, niepokonaną, nieprzyzwyciężoną jak tego żądałeś mylordzie. A więc pani?

P. PERCEVAL (po chwili). A więc... a więc... panowie, jesteście dla mnie nadto oryginalni, nadto ekscentryczni... Zważmy tylko. Przysyłacie mi kwiaty, przysyłacie wazon... po chwili jeden wyśmiewa kwiaty, drugi wazon... Wprowadzacie się do mnie.... chociaż was nie znam. Ofiarujecie mi pałace, lasy, jeziora, zjadacie u mnie kolację, nie dacie mi spać.... chociaż was nie znam.... Łamiecie mi szachy, spicie w moich fotelach, chrapiecie jak w izbie niższej, a na dobitkę zmuszacie mnie do przeprowadzenia się wśród nocy... chociaż was nie znam... A gdy przychodzę oddać wam klucze od mego mieszkania, żądacie, abym nagle jakby z przyłożonym pistoletem do serca, odpowiedziała wam, którego wybieram, którego kocham? Raz więc jeszcze panowie za ekscentryczni jesteście dla mnie. Wreszcie przysięgłam nie kochać jak tylko tego, którego zostanę żoną.

MONTGOMERY, (nagle zbliża się do toalety.) Siadaj Panie Norton, siadaj... pisz i przygotuj intercyzę! (Norton siada przy toalecie.)

CLIFFORD. Do mnie... pan masz żonę,

MONTGOMERY, (przypominając sobie.) Prawda.... ale i pan także.

CLIFFORD. Ja jestem wdowcem.

MONTGOMERY (smutnie.) Nie pisz pan.

CLIFFORD, (żywo.) Pisz pan. (Podaje rękę P. Percewal, jakby żądając jej zezwolenia; panna Percewal podaje mu rękę którą on całuje.) Mylordzie wynajmujemy na rok to mieszkanie. (Bierze z kominka kapelus Montg. i podaje mu.)

Nie zatrzymuje cię, mylordzie.

MONTGOMERY, (oddaje kluczyki Cliffordowi i zbliż się ku drzwiom. Żegnam panią... (przechodzi na praw do panny Perceval i mówi jej cicho.) A pantofelek?

P. PERCEVAL (zdziwiona) Pantofelek?

MONTGOMERY. Tak, pantofelek!

P. PERCEVAL, (głośno śmiejąc się) Ah! pantofelek!... odniesiesz mi go pan w dzień ślubu...

CLIFFORD, (ze zdumieniem.) Ah! i ty mylordzie masz pantofelek... (Żywo) Pani, za godzinę wyjeżdżamy do Włoch.

P. PERCEVAL. Wyjeżdżać!... a moje dzisiejsze wystąpienie przed królową?

CLIFFORD, (tonem wyższości). Nigdy już nie będziesz pani występować, opuścisz scenę. Widzisz mylordzie, że mój oryginalny pomysł wygrywa. (Norton, który napisał intercyzę zbliża się do Clifforda i podaje mu pióro.)

P. PERCEVAL, (cicho z boleścią.) Opuścić scenę!

NORTON, (trzymając akt.) Racz mylordzie, podpisać pierwszy artykuł kontraktu... A tutaj...

CLIFFORD, (podpisawszy.) A teraz pani, (podaje jéj pióro.)

P. PERCEVAL, (trzymając pióro, i spoglądając kolejno na Montgo: i Clifforda, do siebie.) Podpisać? (rzuca pióro) Panowie szczerze i otwarcie postępowaliście ze mną; i ja nie chcę was zwodzić.. mam kochanka..

CLIFFORD. Kochanka?

P. PERCEVAL. Tak, mylordzie kochanka.... jakkolwiek bardzo niestały, bardzo grymaśny, czasem bardzo wymagający jednak ja.... kocham go do szaleństwa .. ma tyle rozumu, tyle czasem uniesienia.. że wyrzec go się byłoby nad moje siły... zdradzałabym was..!

CLIFFORD, (żywo) Jego nazwisko, nazwisko tego kochanka?

P. PERCEVAL, (pokazując publiczność) Jest nim.

Publiczność! (Clifford raptownie kładzie rękę do kieszeni wyjmuje bilet wizytowy i jakby chciał rzucić go publiczności. Montgomery daje mu znak żeby się wstrzymał Clifford wyjmuje kluczyki i oddaje P. Perceval; obydwa wychodzą kłaniając się z uszanowaniem. Zasłona spada.)

KONIEC.

To i owo.

Do społeczeństwa dzisiejszego dziwnie mi się podobnym wydaje zegar bankowy.

Ma on mieć mnóstwo rozumów—uczyć ludzi nietylko godzin dnia i nocy, ale i pokazywać stopnie ciepła i zimna, ciśnienia atmosfery, suchości i wilgoci. Cóż z tego? To z niego ktoś łakomy spirytus wypija, to mu ktoś skąpy oliwy żałuje, to go ktoś niezgrabny nakręca,—dość, że co spójrzysz przechodząc—nieobecny—nie ma go w domu—w naprawie jest—w nieustającéj naprawie—w naprawie mającéj wiele początków, ale ani jednego końca. Jużby może (jeśli koniecznie na wysokości swego zadania stać ma czy wisieć), kursa giełdy wygłaszał, albo nawet po prostu godziny tylko wskazywał—niechby nawet i niekoniecznie ze słońcem w zgodzie, nie jednoby mu się przebaczyło—taki staruszek!—z resztą, ktoż z nas jest bez ale? Gdyby się śpieszył—raniéj byśmy wstawali i Pan Bóg by nam coś przecię może dawał; gdyby się spóźniał.... ha! spóźnił się i balon, a jednak choć nazajutrz dotrzymał słowa.

Stało się to trochę incognito—z wiedzą tylko nielicznych przechodniów, z pominięciem zaś tych, co dnia poprzedniego ruble swoje dawszy, po kilkogodzinnéj cierpliwości próbie, do domu bez kwiktów nawet odeszli—takowe bowiem od nich przy wejściu odebrano. Ci zaś, czegóż się ostatecznie w niedzielę oną dowiedzieli? Oto, że się ich kosztem dowiedział pan Bunelle: jako nie będzie mu dostarczono gazu ile potrzeba.

O francuzki przelotny kapitanie! czyż ty naprawdę myśleć mogłeś, że u nas dobrodziejstwa tego do zbytku? Oszczędność kochany panie—od Niemców się nam jéj uczyć. Bywa tu u nas, że o godzinie jedenastéj ciemno na ulicach jak w rogu. Cóż to takiego? Księżyc miał świecić—dobrze mu tak—po co nie świeci? Niech każdy robi co do niego należy—no—podział pracy przecię.....

Balon tedy także co mógł zrobił—to jest nie odleciał dnia oznaczonego, ale dopiero w poniedziałek. Mówiłem:—zastanówcie się ludzie—dzień feralny—zresztą i kometa za pasem.

Nie słuchali i polecieli. Myślę ja sobie: — jak się tymczasem w ich nieobecności świat skończy—gdzie też oni wysiądą? Ale świat się nie skończył i wysiedli w Broku.

Nie zbyt to daleko—ale gadajże z kapitanem—złéj tanecznicy to i koszula zawadzi. Gaz—powiada on—dziwnie nas do ziemi przyciągał—worki z piaskiem byli od niego lżejsze, bo nam latały nad głową.—Sam nie wie czego mu się zachciewa. My tu sobie znamy tylko gaz który świeci (kiedy jest zapalony), a jak on tam świeci—byleby człowiek nosa nie rozbił—to już o resztę mniejsza. Litera nocet, litera docet. Latanie i latarnie, to dwie rzeczy całkiem różne.

A teraz, proszę—co to jest ku niebu żywcem chcieć się puszczać. Z miejsca, to jeszcze jako tako—zdaje ci się żeś skrzydeł dostał—w błękitach bujasz—obłoki w dole gdzieś oglądasz. Jednak niema róży bez kolców. Powrót ztamtąd mocno bywa podobny do rozbicia—zwyczajnie: ideały i rzeczywistość.

W łódce siedziało dwóch przedstawicieli pism wzajemnie sobie źle życzących. Trzeba jednak zdarzenia, że jeden drugiemu nie zrobił jakoś nic złego. Owszem, wspólnemi nawet siły wygłosiwszy przez tubę swój o tem wszystkiem *Sąd ostateczny*, przerazili okropnie osoby trzecie, nie mające z lataniem równie jak z prenumeratą nic wspólnego—nawet dziwnie dla literatury obojętnych, i za to słusznie skaranych obawą końca świata.

Choć i to są dwie rzeczy, nie koniecznie w parze chodzące. Któż nie wie, że w Czechach najprostszy parobek czytać umie,—niemniéj przecież, uderzenie o ziemię komety znalazło tam ogólną approbatę. Cóż więc w tym przedmiocie ludzie ci czytali? Zapewne Plantamoura o którym znowu chłopi nasi najmniejszego nie mają pojęcia - choć się z niemi w mądrości wspólnéj spotkali.

Pokazuje się zatem: że umiejętność czytania nie koniecznie jeszcze jest oświatą, i że prostaczka, jak dziecko, ani na chwilę puścić samopas nie można.

O zjawiskach tego rodzaju jak owa chybiona kometa, proszę pogadać z Podhalanami w Zakopanem. Jestem pewny, że się w tym roku ani pakowali w drogę ani do piwnic chowali, ani na góry lub do lasów uciekali,—a przecież wszyscy oni, jak chłopi Czescy czytać umieją. Prawda, że mają w pośród siebie proboszcza, zacności człowieka, który nie tylko szkółki pozakładał, ale z góralami swojemi żyje, czuje, cieszy się i smuci, a do tego w każdej chwili rozumem ich swoim obdziela.

Więc też Zakopańca tak łatwo w kaszy nie zjesz.

— Kometa by zaś ziemi w drogę właziła?—powie ci taki fajeczkę mając w zębach—żeby to świat był urządzony według wyrachowań pana Astronoma—ha! toby może licho to i przyszło, choć i tak pytanie, czyby jaką krzywdę ludziom wyrządzić mogło,—że to jednak Pan Bóg opatrzny wszystkiem rządzi, więc pewnie albo je przez drugie jakie gwiazdy odciągnął i opóźnił w drodze żeby się jakoś z nami wyminęło, albo może i do innego przyprzągł słońca, i poszło sobie w świat, który jest dla wszystkich aż nadto przestronny.

Pamiętam—opowiadał mi przewodnik, Sieczka, wrażenia swoje z widoku słynnej komety Donatego. Prosty człowiek—w sukmanie, w łapciach—mówił jak natchniony poeta. Nocy którejś pogodnej, wybrał się na jeden z najwyższych szczytów, żeby ztamtąd sam jeden—„wśród cichości" jak twierdził—Wielką chwałę Boską oglądał. I tak tam sobie przebył aż do *rania*, oka nie zmrużywszy—modlitwą dumania swoje przeplatając.

W ogóle góral ma to przekonanie, że tylko z naiwną wiarą w sercu, piękności jego gór ocenić można.

— Człowiek—powiada—rozgląda się tu po ziemi, po niebie—*przyrównuje* się do nieogarnionéj Mocy Boskiéj—widzi, że jest mały, jak ten tam niby robaczek—i schodzi na dół lepszy, niż był, zanim z góry spójrzał. *Miemiec* zaś, to ci tylko pod nogi sobie patrzy gdzieby co urwał—we wszystkiem grosza szuka—wącha, smakuje, do kieszeni chowa, pod nosem do siebie mruczy—z *glupim klopa* nie gada. Ale już co *Zyda*, to nikt jako żywo na górze żadnéj nie widział. Boi się żeby nie spadł—i potem, na co jemu *tegie*—tam bieda—nie ma kogo obdzierać—a wreszcie co Miemiec wymyśli, to się i dla niego przyda.

Na Podhalu bieżącego lata zjazd był jak mówią bardzo liczny. Zdaje się nawet, że on z rokiem każdym wzrasta. Rzecz to bardzo pocieszająca. Czyż nam koniecznie przyjemnych wrażeń w Alpach szukać? Czas już ogromny bliżéj zacząć robić odkrycia. Wiemy już przecię potrosze: że tam i kąpiele człowiek znajdzie i wody do picia—komu zaś po prostu powietrza tylko zdrowego potrzeba, gdzież znaleźć balsamiczniejsze, jak na téj wyżynie, któréj nawet wyziewy Warszawskich kanałów dosięgnąć nie są zdolne? Wprawdzie wygód tam nie tyle co w Szwajcarji—ale też o wiele tańsze są i nierównie bliżéj. Do tego ludność miejscowa biedna bardzo, bo się tam prawie nic nie rodzi, z przyjezdnych się tylko żywi—pracuje, zabiega i wcale po żebraninie się nie puszcza, jak Słowaccy druciarze. Wszystko to, jedno przy drugiem, względy są które uznać warto.

Dla takich którzy tylko mimojazdem odwiedzają Zakopane, wybrawszy się do Morskiego Oka, na Szmeks, lub do Keszmarku, pogoda nie zawsze pożądanym bywa sprzymierzeńcem. Więc dalejże obgadywać Bogu ducha winną dolinę. Ale to jest czyste tylko uprzedzenie, które traf ślepy z sobą na manowce powiódł. Tak samo słyszałem o jednym cudzoziemcu, który w przelocie przez Warszawę wszystkiego na którąś tylko loterję fantową poszedłszy, wyjechał z przekonaniem, że u nas dniami całemi w lecie wodotryski biją—choć my miejscowi wiemy że tak nie jest—bo to rzecz dosyć podobno kosztowna—choć znowu nie tak nadzwyczajnie.

Któregoś roku, wybrał się do Zakopanego Kraszewski. Mało on ma czasu jak wiemy—a tu jak na złość trafił w mgły i deszcze. Ale nic, czeka dzień, dwa—uwziął się i czekał tydzień cały, wreszcie zbrakło mu cierpliwości i ruszył z powrotem. Ale zaledwie dojechał do Nowego Targu, zrobiła się jakby na przekór najśliczniejsza pogoda.

Jużto Zakopane lubi żeby w niem posiedzieć.

Ale tego lata istotnie podobno nie wiele tam było pogody. Co prawda, prócz u nas, nie bardzo ona gdzie i była. Zewsząd narzekania na to czytamy

aż też i zniechęceni powoli ściągać już zaczynamy z powrotem.

W drodze mijamy się jeszcze z takiemi co do morza skwapliwie śpieszą. Spóźnione to ptastwo, dopiero ku jesieni podskubywać się daje. Wraz z niemi jednak wybierają się też do odlotu i tacy, co sobie tu na miejscu pierzem naszem wygodne napełnili bety. Na czele dyrektor Lignickiej orkiestry.

Mówią że ma do nas żal w tym roku. Prawda że ku końcowi bywało w Dolinie po pareset osób wszystkiego, ale też bardzo długo bywało po kilka tysięcy,—nie miałeś gdzie usiąść, nie mogłeś się ruszać, a wszystko to za swoje pieniądze. Więc gdyby tylko policzyć dziesięciogroszową podwyżkę... Cóż robić wreszcie, toż i teatrzyki żyć muszą a zawsześ co swój to nie cudzy. Myślę, że mogła też nie mało zaszkodzić Bilsemu restauracya miejscowa, sprzedająca bardzo drogo wcale liche wiktuały. A może poprostu z szyku wypadł, jak nieprzymierzając opera włoska pana Ciaffejego?

Teatrzyki także już się zwolna do odwrotu mają. W jednym z nich jak wiemy, zaszło smutne zdarzenie. Każdy zgadnie, że tu mowa o traicznym końcu tej biednéj Baranowskiéj. Smutniejszem jest, że jako przynęta, nazwisko tej nieszczęśliwéj, figurowało na afiszu, jeszcze w dzień jej śmierci. Ale co najsmutniejsze, to że ktoś drugi, nie pan Trapszo, dał widowisko na korzyść postawienia jej grobowca.

Jednak niech to zostanie lepiéj między nami. A nużby się Bilse o tem dowiedział—wstyd byłby ogromny. Toćże on nam poczciwie Moniuszkę aż na cmentarz odprowadził, i jeszcze poranek urządził na dochód jego wdowy. Teraz zaś do Wiednia jedzie na wystawę całego świata—zarazby się Bóg wie gdzie rozniosło.

Boć istotnie, na wystawę tę cały świat się wybiera. Jakże? Turcy nawet, którym się niegdyś nie udało zdobyć Wiedeń przemocą, dziś probują wziąść go koniecznie przemysłem... fabrycznym.

Jednak to nie mały tryumf dla ducha wieku, podobna manifestacja genjuszu ludzkiego! Niby olbrzymia arka, kołysząca się na wylewie teoryi społecznych, z próbkami wszelkich wynalazków i ulepszeń—po wszechtwórczéj *parze*.

Jednak z arki téj, gdyby wypuścić w świat gołębia z następnym naprzykład na kartce napisem: „Interes osobisty dobrze pojęty i egoizm szlachetny, nie tylko nie jest przeciwny zasadom moralności, ale owszem kryje w sobie jedno z najobfitszych źródeł postępu“—to ciekawy jestem: czyby też taki gołąb wrócił nazad z oliwną w dziobie swym gałązką? A nużby się spisał jak ów, którego, na mieliźnie osiadłszy, wyprawili w powietrze towarzysze kapitana Bunella? Ten ani do klatki już nie wrócił, ani do rodzinnego gołębnika, ale prawdopodobnie schwytany w drodze przez interes, przez egoizm upieczony został, choć wątpić można, czy nawet w tym stanie, z własnej a nieprzymuszonej woli komu wpadł do gęby...

W niedzielę zeszłą *Juliusz Favre* po raz drugi sprobował oderwać się od ziemi—ale o tem dla braku miejsca nieco później powiemy.

TRICOTRIN

PRZEZ

OUIDA

STUDJUM Z LITERATURY ANGIELSKIEJ

PRZEZ

Walerją Marrené.

(Dalszy ciąg.)

Czy to prawda pytała opiekunka lat dziecinnych. Spotkała go w nędznem poddaszu, gdzie zamknął oczy umierającemu biedakowi; jéj strojne szaty wlokły się po nierównéj podłodze, zmięte i podarte, na piersiach i we włosach jéj połyskały klejnoty, a przy ich blasku twarz jéj zdawała się jeszcze śmiertelniéj bladą, straszniejszym wyraz przerażenia w oczach. Chwiała się na drżących nogach.

— Czy to prawda, wołała chwytając go się rękoma, w jakby nim tylko mogła zaczerpnąć siły przeciw wstydowi co ją przygniatał. Czy to prawda? spojrzyj w moje oczy; jeśli to tylko wymysł nienawiści, nie mów mi nic tylko spójrz na mnie jak dawniéj patrzyłeś.

Garnęła się do niego, jak to czyniła kiedyś w dziecinnych zmartwieniach,—podnosiła na niego oczy pytające, gwałtowne.

Serce jego zamierało w piersiach, bladość jéj przeszła na jego lica, ale odwrócił oczy, stał wsparty o okno, i zamiast na nią spoglądał na bladą gwiazdę poranną błyszczącą na niebie.

Rozumiała tę niemą odpowiedź, ręce jéj opadły bezsilne, czuła to co czuć musi łania ugodzona śmiertelnie.

— A ten, spytał wreszcie Tricotrin, ten któregoś miała poślubić, on cię kochał?

Zaśmiała się sucho, okropnie.

— Alboż on podobny do ciebie, zawołała, by hańba i nieszczęście nie odepchnęło go odemnie. Żadna kobieta w ten sposób dwa razy kochaną być nie może. On jest wielki, szlachetny, wspaniałomyślny, ale to nie ty to nie ty.... On mi już nigdy uwierzyć nie może. Słusznie. Czyż nie jestem chodzącem kłamstwem w oczach jego, jak w oczach świata całego.

Miłość któréj urągała tak długo, zwyciężyła ją w końcu. Tricotrin był pomszczonym, on teraz wzrastał w jéj myśli do właściwéj miary, był jéj jedyną otuchą, a pomimo to droższą dla niéj stokroć była miłość tego który ją odrzucił.

— Cóż znaczy moje życie całe, wołała, jeśli on ma być dla mnie stracony—cóż mi po bogactwach, piękności, tytułach... bez niego.

W téj chwili jak zawsze nie myślała o tém, jakim ciężarem przygniatały te słowa człowieka co słuchać ich musiał.

Poznała wreszcie wartość tego serca; ale cóż ztąd, ona i teraz nie kochała go,—kochała Estmer'a.

Tę bolesną scenę przerywa odgłos wystrzałów, Marsylianka śpiewana przez tłumy, krzyki około budujących się barykad. Lud i młodzież paryzka łączyła się w jedno z tych efemerycznych zaburzeń, wśród których tyle płynęło krwi szlachetnéj. Tricotrin'a miejsce jest wśród niebezpieczeństwa, on wiedział, że zaburzenie uliczne do niczego nie doprowadzi w téj chwili, stanie się tylko nieszczęściem; przez tę jedną noc zapomniał o tém co się przygotowywało na przedmieściach i czemu chciał przeszkodzić. Czas go ubiegł, teraz daremnie uspakajał rozjątrzone tłumy, daremnie chce je zmusić do złożenia niewcześnie podniesionéj broni.

Tricotrin ginie z ręki ludu którego tak ukochał, w chwili gdy za jego namową najmłodsi zabierali się do składania broni. Śmiertelna rana jego kładzie koniec zamieszkom, on w ostatniéj godzinie pozostaje wiernym godłu swojemu, śmierć jego jest dobroczynną jak było życie. Każe się nieść do pałacu Estmer'a i wzywa go do siebie. Umierającemu, dumny Lord odmówić nie może. Tricotrin wyciągnął do niego rękę.

— Bracie, szepnął, teraz już mogę powiedzieć ci wszystko.

Zanim śmierć położyła pieczęć swoją na te usta, pozwoliła mu wymówić słodkie słowo wzbronione za życia.

A lud cofnął się instynktownie, zostawiając mu swobodę téj ostatniéj godziny.

Tego co mówili pomiędzy sobą obadwaj, nikt nie słyszał, dojrzano tylko z daleka, że wyniosła głowa Lorda pochylała się coraz niżéj i niżéj z pokorą, i głos jego doleciał raz daleko gdy wołał z rozpaczą:

— O Boże! dla czegoż byłeś stracony dla mnie tak długo?

W ciągu życia Estmere często spotykał się z włóczęgą Tricotrin'em, i zawsze spoglądał na niego z wysokości przesądów swoich, ten genialny człowiek był dla niego niepojętą zagadką.

Teraz na ten wykrzyknik, on odpowiedział zaledwie słyszalnym głosem:

Dla czego? bo ja kochałem moją wolność, bom wiedział, że nic nie zmusiłoby cię jedną godzinę zatrzymać twoje położenie, gdybyś wiedział że ja żyję. Postąpiłem jak nierozważne dziecię, ale nie pożałowałem nigdy tego com uczynił, i ty nie powinieneś żałować. Czy życie moje wydaje ci się zawsze tak szczególne, czy widzisz w niem hańbę jaką?

Ręce brata splotły się około niego.

— I ja śmiałem cię sądzić, zawołał, ja śmiałem cię potępiać w ciemnocie i dumie mojéj. Boże! gdybym był wiedział.

Tricotrin uśmiechnął się dawnym łagodnym, swobodnym uśmiechem.

— Miałeś mnie za włóczęgę i próżniaka. Miałeś słuszność—ze swego stanowiska. Dostojeństwa pasowały do ciebie. Jabym nie zniósł duszącego ciężaru gronostajów, jabym nie potrafił żyć skrępowany prawidłami etykiety. Wiesz dobrze moja matka była córką morza i umarła zabita atmosferą wielkości.

Estmere wstrząsł się na te słowa—cała twarda duma i pewność siebie wyrobiona latami, która ćmiła jego wysokie przymioty topniała w téj chwili jak śnieg pod promieniem słońca. On sądził się dotąd sprawiedliwym a hołdował tylko ślepym przesądom, jego trzeźwe poglądy okazały się mylnemi. W téj chwili pogardzał samym sobą.

Ah! dotąd zawołał, dawałem ci tylko przy każdém spotkaniu podejrzenie i szyderstwo, gdy tymczasem jedno spojrzenie twoje, jedno słowo byłoby wystarczyło.

— Nie wymawiaj sobie nic, względem mnie byłeś bez winy; przecież jeśli sądzisz że mi się coś od ciebie należy, możesz dług ten spłacić.

— Żądaj czego chcesz, wszystko co posiadam jest twojém.

— Nic, nic—ty posiadasz swoją dumę, poświęć mi ją.

— Tyś zabił moją dumę, względem ciebie byłem nikczemnym przywłaszczycielem.

— Byłeś w niewiadomości. Przecież ja teraz od ciebie żądam łaski. Przebacz, powróć jéj swoją wiarę, swoją miłość. Nie chcesz?

— Nie śmiem.

— Bo jest córką Coriolis.

— Nie, bo jest niewierną i fałszywą.

— Ona będzie wierną tobie. Jam jéj przebaczył, czyż ty nie przebaczysz?

— Była nikczemną względem ciebie, taką będzie i dla mnie.

— Nie, bo ty masz jéj miłość, a jam jéj nie miał nigdy.

— To właśnie stanowi jéj winę.

— Kochała mnie miłością bezmyślnego dziecka, a ciebie miłością kobiety; umierając, przysięgam ci, że była czystą i bez skazy.

Było długie milczenie... aż wreszcie lord Estmere podniósł głowę i spojrzał na brata miękkim wzrokiem.

Niech tak będzie, wyrzekł, a dumne usta jego drżały,—niech tak będzie dla twojéj miłości.

Tymczasem przez ciżbę ludu przedzierała się ku umierającemu, i rzucając się przy nim na ziemię wołała z rozpaczą.

Czy nie ma już dla mnie kuli ani ostrza żelaza? Ludzie Paryzki, czemże ja byłam kiedyś pomiędzy tobą? opuszczoną, nędzną istotą, bez nazwiska, bez dachu i chleba, jego jałmużna żywiła mnie, jego litości winnam ocalenie. A jam go porzuciła, jam się go zaparła, jam wstydziła się długu wdzięczności. Zabijcie mnie przez miłosierdzie! Jestem najnikczemniejszą z nikczemnych...

W szaleństwie bólu ciężyła jéj prawda, mściła się nad samą sobą gorzéj niż śmiertelni nieprzyjaciele mścić się mogli. W tym fakcie kryła się straszna sprawiedliwość. Spowiadała się głośno przed tym ludem, którym pogardzała zarówno w dniach dzieciństwa jak wpośród późniejszych świetności.

Dla tłumu przecież słowa jéj nie miały żadnego znaczenia, głos jéj ginął wśród głosów co opłakiwały Tricotrin'a. Ale on ją usłyszał, powieki jego się roztwarły i spojrzał na nią raz jeszcze z tą nieskończoną miłością, której teraz pierwszy raz godną była.

— Vivo, szepnął dawnym ojcowskim sposobem' krzywdzisz sama siebie, jam przebaczył ci dawno. Teraz jesteś w prawdzie, pozostań w niéj zawsze. Gdzie nie ma prawdy, tam i spokoju być nie może. Z jego miłością nie będziesz mojéj więcéj potrzebować. Pamiętaj o mnie tyle, ile ci to sprawi słodyczy. Jam uczynił cię szczęśliwą, pamiętaj o tém tylko. Ja rad jestem śmierci. O Boże! życie było słodkie, ale śmierć jest słodką także; przybliż się, pocałuj mnie raz jeden, ten pocałunek ust twoich, nie skala dla niego.

Przez chwilę pozostał na wpół martwy, z przymkniętemi źrenicami, jakby nie słyszał łkań tych co go otaczali.

Potem nagle próbował się podnieść, i powiódł oczy po tłumie ludu stojącym w koło i po błękicie letniego nieba.

Ziemia wydawała mu się zawsze tak piękną, ludzie byli tak przez niego ukochani, a więcéj nie miał już zobaczyć ani natury w świątecznéj szacie, ani twarzy swych bliźnich. I tak wydał ostatnie tchnienie.

(d. n.)

Przegląd literacki

Książka przygotowawcza do egzaminu wstępnego do klassy I-éj gimnazyów przez *Michała Grubeckiego*, nauczyciela szkół publicznych. Warszawa 1872 r. Skład główny w księgarni Centnerszwera, ulica Marszałkowska.

Pomimo nieuniknionych trudności i przedwstępnych różnych formalności, gdy przyjdzie zapisać dziecko do pierwszéj klassy szkoły publicznéj, rodzice lub opiekuni w niemałym są kłopocie, do jak wysokiego stopnia syn ich lub wychowaniec powinien być usposobionym w naukach, aby mógł złożyć egzamen do téj klassy. Często się zdarza, iż przyszły gimnazista ma pretensyę, iż przygotowany jest do klasy trzeciéj, a tymczasem przy egzaminie okażuje się, iż w saméj rzeczy z jednego lub dwóch przedmiotów mógłby się kwalifikować do téj klasy, gdy tymczasem z innych nauk, nawet do pierwszéj nie może być przyjęty. Ztąd zawód, smutki i koszta nieuniknione.

Otóż doświadczony pedagog i zasłużony nauczyciel i autor p. M. Grubecki chcąc ochronić rodziców i opiekunów od owego zawodu, wydał powyższą książeczkę w zastosowaniu się ścisłem do rozporządzeń rządowych.

I w saméj rzeczy z książki téj przekonywamy się, iż bardzo mało wymaga się od ucznia pierwszéj klasy, ale to *mało* musi być istotnie *dobre*, a polega na znajomości czytania, pisania po polsku i po rusku, czterech działań arytmetycznych, oraz pierwszych zasad religii, ale najgłówniejszą tu rzeczą, aby władze umysłowe ucznia były do pewnego stopnia rozwinięte; może umieć mało, ale być rozgarniętym i uważnym.

Układając swoją książkę p. Grubecki szczególniejszą zwrócił uwagę na ten względ ostatni, ztąd też zaczyna od abecadła tak w jednym, jak i w drugim języku, rozdziela go systematycznie, przechodzi do sylabizowania, a następnie podaje do czytania łatwe, zrozumiałe wciąż stopniowane wyciągi ze znanych autorów. W tekście polskim w miejsce dwóch historyi o królewiczu chłopku itd. wolelibyśmy kilka ustępów z nauk przyrodzonych dostępnie zobrazowanych.

W części ruskiego języka przydałoby się choć kilka główniejszych prawideł ortograficznych, gdyż wiadomo, z jaką trudnością przychodzi uczniom coś napisać ortograficznie po dyktowaniu.

Dział arytmetyczny za to przygotował autor bardzo trafnie i przystępnie, chociaż więcéj przykładów wielceby się przydało, a i w tych co są, należałoby sposób wyrażenia nieco poprawić, aby uniknąć takich np. rutenizmów, jakie na stronicy 24 w przykładzie 14-ym spotykamy.

Praca p. Grubeckiego ukazała się na czasie i wielce jest przydatną dla kandydatów do szkół gimnazyalnych, a sprostowanie drobnych uchybień korrekty, oraz niektóre konieczne uzupełnienia mamy nadzieję w następnéj edycyi znajdą miejsce.

Komedyjki dla młodocianego wieku, ułożone przez *J.* (adwigę) z *N.* (iemcewiczów) *S.* (zwykowską). Warszawa 1872.

O jasno, zrozumiale i poprawnym językiem napisaną książeczkę dla małych dzieci, które się już czytać nauczyły, bardzo u nas trudno, dla tego wdzięczni jesteśmy panu Ungrowi za wydane przezeń *Komedyjki dla młodocianego wieku*, które dla ośmioletnich lub dziewięcioletnich czytelników prawdziwą są rozkoszą. Komedyjki te, albo raczéj dyalogowane obrazki są bardzo skromne i nie mają nic wspólnego z wymaganiami prawdziwéj komedyi, ale zawsze stanowią przyjemne i pożyteczne czytanie, a nawet jak *Prima Aprilis* wybornie na teatrzyku dziecinnym mogą być przedstawiane. Komedyjek jest sześć to jest: *smutek i pociecha. Zupa migdałowa, Majówka, Obrazy żyjące, Prima Aprilis* i *Nagroda i kara.* Wszystko-to są prześliczne kwiatki młodéj autorki, która zbyt wcześnie zgasła dla naszéj literatury, aby niezwykły jéj talent mógł przyjść do swojego rozwoju i pełni. W każdą przecież z tych drobnostek umiała autorka tchnąć jakąś myśl, jakieś uczucie moralne, i to wszystko wypowiedzieć z takim wdziękiem i prostotą, iż zdaje ci się, że to podsłuchane i spisane te naiwne wyrażenia pięcio lub siedmioletnich bohaterów i bohaterek. Tylko kobieta i to kobieta, któréj serce przepełnione najwznioślejszem uczuciem, bo miłością macierzyńską, zdolną jest pisać językiem tych aniołków lub szatanków w zarodzie. Można być wielce uczonym i znakomite tworzyć dzieła, a nie być w stanie skleić wdzięcznéj powiastki dla dzieci w ich własnym języku. Kobiety największe położyły zasługi na polu takiéj literatury z mężczyzn zaś jeden tylko Jachowicz szczęśliwe miał wyrażenia w swoich niedorównanych bajeczkach i przypowieś ciach.

Komedyjki dla młodocianego wieku, wolne od przesady i naciąganéj sztuczności, napisane prześlicznym językiem, z radością dzieciaki czytać będą, a można im tę uciechę sprawić, bo książeczka starannie wydrukowana i niedroga, kosztuje tylko 30 kopiejek.

J. Pracki.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dalszy ciąg)

Nie zatrzymywało to wszakże badaczy. Nauka posiada kilka szczegółowych opisów krateru Stromboli. Najdokładniejszy jest opis niemieckiego geologa Fryderyka Hofmanna. W 1828 Hofmann dostawszy się na wierzchołek, położył się na samym brzegu przepaści, tak ażeby mógł głowę wychylić po za brzegi i swobodnie patrzeć w głąb krateru, towarzysze go trzymali. W następnych słowach opisuje on wrażenia swoje:

„Trzy otwory czynne w głębi krateru widzić się dawały, główny miał około 200 stóp srednicy, nie przedstawiał on nic szczególnego, dymił lekko a liczne żółte osady siarki, okrywały boki jego ostrokręgu niby w kształcie komina wznoszącego się. Obok tego otworu i bliżéj ku ścianom przepaści, znajdował się inny, szeroki zaledwie na stóp 20; w nim obserwować mogłem ruch płynnéj kolumny lawy, któréj poziom ciągle się kołysał.

„Lawa nie przedstawiała się bynajmniéj tak, jak ją żywa wyobraźnia przedstawia nam częstokroć, to jest jako massa ognista, rozżarzona, buchająca płomieniem; wyglądała ona zaś jak metal roztopiony, świecąca jak żelazo wychodzące z wielkiego pieca, jak srebro na dnie tygla.

„Ta roztopiona massa poruszała się wolno, z dołu do góry i zgóry na dół. Widocznem było, że ją pchał ku górze potężny niezmiernie napór sprężystych par, uwięzionych w jéj wnętrzu; łatwo można było widzieć walkę pomiędzy ciężarem roztopionéj massy, a sprężystością pary. Powierzchnia wznosiła się i opadała regularnie, w rytmicznych odstępach. Słychać było szum szczególnego rodzaju, jakby powietrza wychodzącego z miecha. Za każdym takim urywanym szumem, wielka kula białawéj pary podnosząc lawę, wychodziła na jéj powierzchnię, ta zaś po wyjściu jéj opadała. Te, jakby balony z pary złożone, odrywały i unosiły z powierzchni lawy żużle do czerwoności rozpalone; kawałki te jakby tańczyły w powietrzu,

podrzucane niewidzialnemi rękami w takt rytmiczny pod otworem krateru. Ruch ten tak regularny i zabawny, przerywany był co kwandrans prawie gwałtowniejszemi ruchami w łonie lawy powstającemi. Pary unoszące się i kręcące nad otworem z podskakującemi żużlami, zatrzymywały się chwilę i jakby do otworu wrócić chciały, jakąś siłą w dół pociągnięte, a z głębi krateru lawa podnosiła się gwałtowniéj. Wtedy grunt trząsł się, brzegi krateru drżały, z łona jego wychodził huk głuchy i ciągły, nareszcie ogromny balon pary pękał na powierzchni lawy, przerywając ją z trzaskiem piorunowym. Cała wtedy wierzchnia warstwa roztopionych ciał rozdrobiona na rozżarzone żużle, wyrzucana była w powietrze.

„Gorąco wielkie w twarze nam buchało, słup płomieni prostopadle wznosił się do góry i spadał w około nas jak deszcz ognisty. Czasami bomby z lawy utworzone, gwałtowniejszem wydobywaniem się pary, wyrzucone bywały na 1200 stóp w górę i ogniste parobole opisywały nad głowami naszemi. Po takim większym wybuchu, lawa opadała natychmiast na dno komina, któren pozostawał pusty, otwarty i czarny, lecz niedługo ukazywało się znowu powoli podnoszące się zwierciadło błyszczącéj lawy, i rozpoczynały się regularne i rytmiczne ruchy wydobywającéj się pary."

Islandja. Chociaż dawne dzieła geograficzne o jednéj tylko Hekli, jako górze wulkanicnéj w Islandji mówią, jednak ta wyspa posiada ich więcéj dwudziestu, z których 8 obecnie czynnych. Hekla nie jest wcale ani największym. ani najstraszniejszym z tych wulkanów, a jeżeli głównie o nim tylko wspominają, to dla tego, że znajduje się na południowym krańcu wyspy, przez podróżujących najczęściéj zwiedzanym. Islandja cała będąc, jak nam to pokazują mappy geologiczne, złożona z utworów wulkanicznych, więc i same wulkany obficie na niéj znajdować się muszą.

Najznaczniejsze tam góry wulkaniczne są na północy; Krabla, Leirhnukur, Frolladyngur, Skapta-Jockül, zaś na południu Hekla, Lyafiall i Kottigia, a na wschód Orofa-Jockül. W 1783 Krabla i Skapta-Jockül wyrzucały taką ogromną ilość popiołów, a raczéj ciał sproszkowanych, przez całe sześć miesięcy, że te rozpędzone wiatrami na znaczną część Europejskiego lądu, zaciemniały nieraz słońce i sprawiały anormalne zabarwienie atmosfery.

Wszystkie prawie wulkany Islandji, znajdują się na szerokiéj podstawie trachytowéj, przerzynającéj wyspę od południa-zachodu ku północo-wschodowi, poprzerywanéj niezmiernemi rozpadlinami i pokrytéj warstwami lawy tak wielkiemi, jak podobnych nie znajdują w żadnéj okolicy wulkanicznéj. Czynność wulkaniczna tak jest potężna w tym kraju, że niektóre wybuchy Hekli trwały lat sześć bez przerwy.

Nie można mówić o wulkanach Islandji, bez wzmianki o sławnym wulkanie wodnym znanym pod nazwą *Geyseru.* Dają to nazwisko, jakeśmy już mówili, olbrzymim wodotryskom wrzącéj wody, nasyconym krzemionką, buchającym na znaczną wysokość i osadzającym na brzegi ogromną ilość krzemionki, która tworzy nowe pokłady i skały.

Wyspy Azorskie, Kanaryjskie, wyspy Przylądka Zielonego. Ta grupa wysp położonych na zachód Afryki, cała jest utworu wulkanicznego jak i Islandja.

Główny wulkan wysp Azorskich nazywa się *Piko;* zasługuje na uwagę dla swego ostrokręgu wybuchowego, zupełnie regularnego i złożonego z trachitu.

Sico de Teyde na wyspie Teneryfie, znany powszechnie pod nazwą *Pic de Ténériffe*, wysokości około 11000 stóp; był dawniéj straszliwym wulkanem, lecz wygasł zupełnie od początku naszego wieku. Ostrokręg wybuchowy téj góry widny jest z morza o mil 50. Słynny geolog Leopold de Buch, spuszczał się w wygasły jego krater, aż do głębokości 6000 stóp, ażeby studiować układ tych mass wybuchowych i następstwo pokładów, która ta ogromna rozpadlina odkrywa zupełnie.

Wyspy Przylądka Zielonego zawierają jeden tylko wulkan czynny: *Fuelgo.*

Wyspy Gallapagos. Wyspy te posiadają dwanaście czynnych wulkanów.

Wyspy Sandwichskie. Główny wulkan tego małego Archipelagu znajduje się na wyspie Owaihi i nazywa się: Morna-woroway.

Wyspy Towarzyskie. Góra Tobreonn tak wysoka jak Etna jest środkowym wulkanem wysp tych.

Wyspy Przyjacielskie. Wulkan na wyspie Tofua, do téj grupy należącéj, bez przerwy jest czynnym.

Wyspa Bourbon. Wulkan tu znajdujący się jest jednym z najważniejszych na kuli ziemskiéj. Perjodyczne wybuchy jego mają miejsce dwa razy do roku. Wysokość przechodzi 6000 stóp.

Łańcuchy gór wulkanicznych.

Zbyt mało nauka posiada dokładnych wiadomości tyczących się *gór wulkanicznych* łańcuchami się ciągnących. Tylko wulkany Chili i Meksyku do téj kategorji należące, naukowo przez Humboldta badane były. To też musimy poprzestać na wyliczeniu główniejszych tylko, według dzieła Leopolda de Buch, a zastanawiając się cokolwiek nad ostatniemi, to jest nad łańcuchami wulkanicznemi w Chili, Boliwji, Peru i Meksyku, jako więcéj znanemi.

Wyspy Grecji. Te wyspy jedyne są w Europie, które z pewnością zaliczyć można do łańcuchów gór wulkanicznych. Z pomiędzy nich Santaura jest najważniejszą, ponieważ czynność wulkaniczna na niéj jest nieustającą. W roku 486 naszéj ery, utworzył się jéj krater i wyszła z morza wyspa *Hiera* albo *Hierara*, pomiędzy wyspami Santorin, Therasia i Aspronisi. W 1427 wyspa ta znacznie się powiększyła, przez podnoszenie się nowych wysepek przy jéj brzegach, które się z nią połączyły. W 1573 utworzyła się wyspa Mikra-Kameni, a powstaniu jéj towarzyszył wielki wybuch pary i pumexowych kamieni. Od 1707 do 1709 ukazała się nowa: Nea-Kameni, która pary siarczane wciąż wydaje. Według pisarzy starożytnych, wyspy Santorin, Therasia i Aspronisi, ukazały się podobnież na kilka wieków przed Chrystusem, w skutek gwałtownego trzęsienia ziemi.

Czynność wulkaniczna na tych wyspach jest nieustanna i lada chwila nowa wyspa ukazać się może.

Łańcuchy gór wulkanicznych na zachód Australji, łańcuchy wulkanów na wyspach Sondy, Moluckich i Filipińskich.

Można te łańcuchy opasujące niejako Nową Holandję i część lądu Azji, do jednéj zaliczyć grupy. Niezmierna ilość wulkanów wysp Sondy rozciąga się aż do Sumatry i Jawy, i ginie w zatoce Bengalskiéj. Łańcuchy wulkaniczne wysp Moluckich i Filipińskich, wznoszą się ku Japonji i okrążają ląd Azji.

Łańcuch Japoński i Kurylski. Wulkany w Japonji ciągną się po całym tym kraju. *Fusi* w prowincji Suraga, jest najwyższą górą i najznaczniejszym tam wulkanem. Wierzchołek jego wiecznym okryty śniegiem, ciągle się dymi wulkanicznemi parami.

Łańcuch wulkaniczny na wyspach Aleuckich. Wyspy te zawierają kilka wulkanów czynnych. W 1796 o dziesięć mil na północ od Unalaska, jednéj z wysp Aleuckich, ujrzano z łona morza wznoszący się wielki słup dymu, następnie na powierzchni wód ukazał się punkt czarny, z którego wysoko wybuchały płomienie. W ciągu kilku miesięcy trwania tego fenomenu, punkt czarny rósł ciągle i utworzył wyspę szeroką i wysoką. Nareszcie już i dymy ukazywać się przestały, a po czterech latach wszelkie fenomena wulkaniczne znikły. Wyspa jednak czas jakiś podnosiła się jeszcze i rozszerzała.

Przejdźmy teraz do rozmaitych grup wulkanów Ameryki, odnoszących się do łańcucha Kordylierów.

(d. c. n.)

Różne wiadomości.

* *Towarzystwo gimnastyczne.* St. Petersburgskie Towarzystwo gimnastyczne, ze względu na ukończony sezon 1871—1872 roku, złożyło sprawozdanie za ten sezon. Ze sprawozdania okazuje się, między innemi: że cały dochód za 1871—1872 rok wynosił 43,578 rubli 13 kop.,w w porównaniu z 1870—71 więcej o 22,040 rub. 23 kop., a w porównaniu z budżetem więcej o 29,279 rub. 13 kop. Ta znakomita przewyżka wynikła głównie z wpływu od ministerstwa oświecenia publicznego, zamiast poprzednich 3,000 rubli, na przygotowanie nauczycieli gimnastyki, 29,262 rubli naprzód za lat 6 za przyspobienie corocznie do 15 nauczycieli wydziału ministerstwa oświecenia publicznego. Gdyby zaś rachować na ukształcenie nauczycieli taką samą sumę, jaka wpłynęła przez dwa lata poprzednie, to jest po 3,000 rub., to cały dochód wyniósłby 19,307 rub. 13 kop., więcej w porównaniu z budżetem o 3,007 rub. 13 kop. Wydatek w ciągu 1871—72 roku wyniósł 17,753 rub. 21 kop., a jeśli wyłączymy z téj sumy 4,697 rub. 20 kop., które zapisane są do wydatku na kupno 5½% renty na 5,000 rub., to wydatki rzeczywiste na utrzymanie zakładów gimnastycznych i przysposobienie nauczycieli gimnastyki, dochodzą tylko do 15,086 rub. 1 kop.; w porównaniu z budżetem mniej o 1,010 rup. 99 kop. Z dniem 1-m maja zatem, znajdowało się w remanencie gotowizną 25,825 rub. 92 kop., oraz papierami procentowemi (5½% renty) 5, 000 rub., ogółem 30,825 rub. 92 kop. Wszystkich w ogóle członków i gości w dwóch należących do Towarzystwa gimnastycznego zakładach było w 1871—72 roku więcéj o 41 osób. W tej liczbie: członków 136, w porównaniu z 1870—71 r. mniej o 9 osób; gości czasowych ogółem 375, w porównaniu z 1870—71 więcej o 50 osób. Oprócz tego, zakład gimnastyczny na wyspie Wasilewskiej uczęszczany był bezpłatnie: przez 5 osób, które korzystały z gimnastyki lekarskiej, a których biedny stan poświadczony został przez 3-ch członków; przez 7 stypendystów ziemstwa st. petersburgskiego i uczniów gimnazjum przy instytucie historyczno-filologicznym, oraz szkół parafjalnych zwiastowania i Andrejewskiej, ogółem do 100 osób w tej liczbie do 30 dziewcząt; i za oddzielną płacą. przez słuchaczy kursów teoretycznych, w liczbie 28 osób. (*St. Pet. Wied.*)

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk. K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 35 r. 1872.

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

W kilka minut później, Dolores, Kornelja i Coursegol wyszli z domu, zaopatrzeni w kartę obywatelstwa, którą musiał posiadać każdy dobry obywatel, jeśli chciał wyjść na ulicę po dziesiątej wieczór, i przeszedłszy plac królewski, zakręcili w małą wązką i ciemną uliczkę. Tu zatrzymał ich przechodzący patrol, okazali kartę i puszczono ich nie badając. Czas jakiś chodzili po ulicy, oglądając się czy ich kto nie śledzi, po czem ostrożnie podeszli do starego zrujnowanego domu, przed którego drzwiami stał mężczyzna w kurtce i czapce czerwonéj. Kornelja rzekła cicho parę słów,—ruszył głową i puścił ich do sieni. Coursegol został na ulicy, Dolores i jéj towarzyszka ciemnemi wschodami weszły aż na piąte piętro; tu znów straż stała przy drzwiach. Kornelja powiedziała hasło, drzwi otworzono i weszły do mieszkania. Przeszedłszy kilka pokoi, w których zaledwie gdzieniegdzie nędzne stały sprzęty, udały się nareszcie do wielkiéj sali oświetlonéj dwiema woskowemi świecami. Nie było tu ani jednego okna, tylko mały otwór w suficie, przez które zwykle wchodziło światło, a który obecnie zasłonięty był grubem suknem, aby patryoci chodzący po dachach, nie postrzegli światła świec. W głębi sali była wielka alkowa, zasłonięta ciężkiemi firankami. W sali zebrało się ze dwadzieścia osób, po większéj części kobiet; cisza zaległa pokój, wszyscy stali nieruchomie, jakby oczekiwali tajemniczéj jakiéjś katastrofy.—W tém wybiła jedenasta i w téjże chwili z po za firanek dał się słyszeć głos:

— Zamknijcie drzwi!

Spełniono rozkaz, jednocześnie wszyscy obecni padli na kolana, firanki się rozsunęły i po za niemi, zamiast łóżka, ukazał się oświetlony ołtarz, a na nim krzyż czarny drewniany. U stóp ołtarza stał sędziwy siwowłosy kapłan, przybrany w ornat; dwóch młodych ludzi służyło mu do mszy. Na ten widok Dolores nie mogła powstrzymać łez gwałtem cisnących się do oczu; modliła się gorąco za wszystkich i wszystko co kochała, za Filipa, Antoninę, za zbłąkanych braci. Po skończonéj mszy, kapłan przemówił do zgromadzonych kilka słów pociechy, poczém rozeszli się powoli, a kapłan, ołtarz i święte naczynia znikły w jednéj chwili.

I tak co niedziela Dolores słuchała nabożeństwa, coraz to w inném miejscu i nieznacznie została wtajemniczona w różne wielkie poświęcenia i bohaterskie czyny, które natchnęły ją odwagą, nauczyły nie lękać się prześladowania zagrażającego najzacniejszym obywatelom. Myśl o Filipie i nieograniczone poświęcenie dla nieszczęśliwych współbraci, zapełniały wszystkie jéj chwile, a im bliżéj poznawała, tém więcéj ceniła zacne serca i ciche cnoty małżonków Bridoul, pokochała ich szczerze i starała się dorównać im poświęceniem i zaparciem siebie.

Coursegol ze swéj strony nie zapominał ani na chwilę, w jakim celu przybyli do Paryża i nie zaniedbywał nic coby mogło naprowadzić go na ślad Filipa i Antoniny, pomimo iż Bridoul upewniał go, że dawny kapitan nie może znajdować się w stolicy, skoro nie pojawił się u niego. Daremnie odszukał niektórych dawnych przyjaciół swego pana, zwiedzał wszelkie miejsca publiczne, chodził po ulicach, bywał w klubach, wypytywał dawnych towarzyszy broni,—od nikogo jednak nie mógł nic dowiedzieć się o młodym margrabi. I tak całe dnie schodziły mu na bezowocnych poszukiwaniach, a wieczorem zdawał z nich sprawę Dolores, która w końcu podzielała zdanie Bridoula, że Filip musiał opuścić Francję.

— Tak, mój poczciwy Coursegol'u, Filip i Antonina musieli emigrować i może nigdy ich już nie zobaczymy. Ale niech i tak będzie, byle oni byli szczęśliwi i bezpieczni.

— Nie płacz kochane dziecię, pocieszał ją Coursegol, da Bóg przyjdzie chwila, iż dowiemy się o nich.

— Zapewnie przebywają gdzieś w Niemczech lub w Anglii i niepokoją się o was, dorzucił Bridoul; bądźcie spokojni, a da Bóg spotkacie się w lepszych czasach.

Tak minęło przeszło cztery miesiące; Ludwik XVI poniósł śmierć na rusztowaniu, czas upływał, a dotąd wszelkie starania przedsiębrane w celu dowiedzenia się czegoś o Filipie, żadnego nie odniosły skutku.

Powiedzieliśmy wyżéj, że zaraz po przyjeździe Filipa do Paryża, został on wprowadzony przez kawalera de Florian do księcia Penthièvre i zaliczony do jego dworu. Z całéj rodziny królewskiéj, jeden tylko książe ten pozostał we Francyi spokojny i bezpieczny, a zaszczytny ten wyjątek zawdzięczał ogólnéj czci, jaką budziły wielkie jego cnoty i rzadka dobroczynność. Od śmierci synowéj swojéj, księżnéj de Lamballe któréj nie mógł ocalić, wraz z córką swoją księżną Orleańską przeniósł się na mieszkania do pałacu de Bisy, w Vernon. Tam żył nie jak wygnaniec, ale jak udzielny książe, a miłość i poszanowanie jakiem otaczali go mieszkańcy Vernonu i okolic, strzegła go od prześladowania terrorystów. Czcigodny starzec, złamany boleścią po stracie drogich sobie osób, widocznie tracił siły; lud dawał mu liczne dowody współczucia, na dowód czego zasadzili przed domem jego wielkie drzewo wolności, uwieńczone napisem: *Cześć cnocie!* Ceremonja ta odbyła się z wielką uroczystością. Nie dość na tém, nieco później; gdy książe nie mogąc przeżyć tylu tak strasznych ciosów, upadł na łoże boleści z którego nie miał już powstać, miasto wysłało do niego deputację z prośbą, aby mu nie odmówił swego ostatniego błogosławieństwa. Taki przykład uznania wielkiej cnoty, jest bez zaprzeczenia jedną z najpiękniejszych kart w historji rewolucji.

Pewnego dnia Coursegol uzyskawszy pasport z pomocą Bridoul'a, udał się do Vernon. Małe to miasteczko leży o kilka mil od Paryża, na drodze do Normandji. Nad wieczorem stanął u celu podróży, przenocował w miejscowéj oberży, a nazajutrz rano przybył do pałacu księcia, prosząc o posłuchanie, którego czcigodny starzec nie odmawiał nikomu. Wprowadzono go do galerji, przez którą książe miał przechodzić na mszę odprawianą codziennie w kaplicy zamkowéj; tu zastał kilka oczekujących osób.

O dziesiątéj ukazał się książe. Coursegol który nie widział go lat kilka, znalazł go znacznie zmienionym, ale poważna twarz jego otoczona długiemi siwemi włosami, zachowała swój wyraz niewysłowionéj dobroci, ruchy były nacechowane szlachetną prostotą jednającą mu serca prostaczków. Osoby oczekujące w sali, byli to po większéj części dworzanie jego; odpowiadał z roztargnieniem na ich powitania, a ujrzawszy Coursegol'a zwrócił się ku niemu, pytając:

— Czego żądasz, mój przyjacielu?

— Mości książe, odrzekł, jestem sługą margrabiego de Chamoudrin, który miał zaszczyt należeć do dworu W. Ks. Mości.

— Chamoudrin! wiem, wiem, był kapitanem dragonów, właśnie niedawno miałem list od niego.

— List od niego! ach! Mości książe, gdzież on jest? co się z nim dzieje?

— Cóż cię to może obchodzić?

Coursegol opowiedział po krótce jakie wypadki rozłączyły go z Filipem, i cel przybycia Dolores do Paryża.

— O! pojmuję jaki niepokój dręczy tę młodą dziewicę! biedna nie wie nawet czy brat jéj żyje. Szczęściem mogę ją upewnić, że margrabia de Chamoudrin jest zdrów i bezpieczny. Zaniesiesz jéj list, który niedawno odebrałem od niego z Londynu. Kochany Miromesnil, rzekł zwracając się do towarzyszącego mu starca, poszukaj na mojem biórze listu margrabiego i oddaj go temu poczciwcowi.

Uradowany Coursegol serdecznie dziękował księciu, który rzekł mu z cicha:

— Może panna de Chamoudrin potrzebuje pieniędzy; proszę powiedz jéj, że zawsze może liczyć na mnie.

To powiedziawszy książe pożegnał Coursegol'a i poszedł do kaplicy.

W kwandrans potem p. de Miromesnil przyniósł list Filipa, na którego Coursegol tak niecierpliwie oczekiwał. Datowany był z Londynu. Filip mało wnim mówił o sobie, a o pannie de Mirandol nie było nawet wzmianki, ale Coursegol dowiedział się przynajmniej że żyje. Udał się też natychmiast z powrotem do Paryża, podzielić się z Dolores tą dobrą wieścią.

Jakaż to była radość dla młodej dziewicy; padła na kolana dziękując Bogu, że zesłał jej pociechę właśnie w chwilach, gdy zrozpaczona zupełnie prawie straciła nadzieję. Chciała koniecznie zaraz jechać do Londynu, aby połączyć się z Filipem i Antoniną, gdyż pewna była, że są już poślubieni—ale Coursegol oświadczył, że obecnie podróż ta jest zupełnie niepodobną. Chcąc się dostać do morza, trzeba było narazić się na tysiące prawie niepodobnych do uniknienia niebezpieczeństw, przebyć silne obozy, podejść straszne postanowienia Konwencyi i spotkać się ze śmiercią przed dojściem do celu.

— Zresztą, dodał Coursegol, list ten zapewnia tylko że pan Filip żyje i zdrów, ale nic nie dowodzi że jeszcze jest w Londynie.

— Coursegol ma słuszność, rzekł Bridoul, teraz trzeba myśleć nie o podróży, ale o napisaniu listu do p. Filipa.

— Ależ jeśli niepodobna przebyć granicy, to i list nie dojdzie, odrzekła Dolores.

— To rzecz inna; napisz list, moja siostrzenico, a ja się postaram, że dojdzie rąk adressanta.

— Niech i tak będzie, rzekła z westchnieniem Dolores, wolałabym jechać,—ale cóż robić!...

Coursegol odetchnął; gdyby obstawała przy swojem, byłby zmuszony wyznać jéj, że szczupłe jego fundusze tak się już wyczerpały, iż nie wystarczyły by na odbycie tak długiéj i tak wówczas kosztownéj podróży.

Od chwili spalenia pałacu de Chamoudrin, Dolores żyła tylko kosztem Coursegol'a. Sprzedał on dość małą swoją spuściznę po rodzicach, ale długi pobyt w Beaucaire, podróż do Paryża, nadwerężyły bardzo mały jego kapitalik tak dalece, że cały jego fundusz wynosił obecnie 1200 fr. w złocie.

Coursegol przewidywał, że nadejdzie chwila w któréj przyjdzie mu opuścić gościnny dach przyjaciela, odmawiającego stanowczo wszelkiego wynagrodzenia, i dręczył się myślą skąd weźmie na potrzeby Dolores, gdy szczupły fundusz jego zupełnie zostanie wyczerpany. Nie wiedząc co począć zwierzył się Bridoulowi, który uspokoił go upewniając, że podobna summa w złocie może uważać się za znaczny majątek.

— Dwieście franków w złocie! zawołał, to aż nadto do rozpoczęcia korzystnych interesów. Można postarać się w wydziale wojennym o jakąś dostawę, spekulować na assygnaty, i przy zręczności i umiejętnym kierunku, robić dobre interesa.

A była to dobra rada! Złoto i srebro stawało się coraz rzadsze, kurs assygnatów zmieniał się codziennie; kto więc tylko posiadał jakąś gotówkę w monecie i umiał nią spekulować, mógł ogromne zbierać zyski.

VII.

Było to w kwietniu (czyli jak wówczas mówiono w miesiącu germinalu) 1793 roku. Upłynęło ośm miesięcy od czasu przybycia Dolores do Paryża. Pewnego wieczora Coursegol udał się do pałacu Égalité. Nie czytając szczegółowych opisów, niepodobna nawet wystawić sobie, czem był wtedy Palais-Royal. Tu ześrodkowały się: gwar, ruch, życie, spekulacya, spiski, zabawy, gra i rozpusta. We dnie i w nocy gwar i tłum zapełniał galerje. Wielu przechodniów witało się jakiemś tajemniczem słowem, dawali sobie znaki porozumienia, poczem oddalali się aby swobodnie rozmawiać w ogrodzie. Tam czyniono sobie najrozmaitsze zwierzenia; tam powstawały najsprzeczniejsze z sobą nadzieje; tam naradzano się nad powrotem Bourbonów, lub nad oswobodzeniem niewinnych ofiar terroryzmu. Co krok też uwijali się tu szpiegi komitetu bezpieczeństwa lub kommuny, aby badać duch publiczny, wykrywać tajemnice nieprzychylnych nowemu porządkowi. Tu także we dnie i w nocy uwijała się cała klika nędznych oszustów, pokątnych spekulantów rozporządzających zgrają podrzędnych agentów, wyzyskujących prostodusznych i niedoświadczonych, którzy panoszyli się cudzą krzywdą i nie raz ogromne robili majątki.

Chcąc powiększyć mały swój kapitalik—Coursegol bywał codziennie w pałacu *Égalité*; wpływ i poparcie Bridoula uchroniły go od losu innych nowicjuszów. Przedstawił on Coursegol'a kilku znanym sobie szczęśliwym spekulantom, a ci raczyli wziąść go pod swoją opiekę, udzielali pewnych wskazówek, co dozwalało mu obracać szczęśliwie szczupłym swoim funduszem. W takich okolicznościach, inny na miejscu jego mógłby ogromne robić interesa, ale wrodzona prawość i poczciwość nie dozwalały mu brać udziału w żadnych nieuczciwych obrotach, a jedyną jego spekulacją było kupowanie assygnat kiedy spadały, i sprzedawanie gdy się podnosiły. Wielu spekulantów podziwiało jego przezorność i zimną krew, godną zazdrości w owym czasie roznamiętnienia i gorączki.

Pewnego wieczora przechadzał się spokojnie po galerjach, patrząc obojętnie na rozszalałe otaczające go tłumy, i przysłuchując się rozmowom, z których mógłby dowiedzieć się czegoś co go obchodziło, gdy w tem ktoś uderzył go po ramieniu.

— Ach! to ty obywatelu Vauquelas? rzekł odwracając się.

— Chciałbym z tobą pomówić, Coursegol'u.

Vauquelas ujął go pod rękę i poprowadził w stronę ogrodu. Człowiek ten ubrany był czarno i owinięty w jakąś piusową opończę, nadającą mu niejakie podobieństwo do księdza, gdyby wysoki kapelusz ozdobiony wielką kokardą narodową, nie zdradzał zamożnego patrjoty. Twarz jego sucha, chuda, poorana głębokiemi zmarszczkami, dowodziła, że miał lat przeszło sześćdziesiąt, ale trzymał się tak prosto, ruch jego był tak pewny i śmiały, puder na włosach tak pokrywał ich siwiznę, iż patrząc z boku można go było wziąść za młodego, a z twarzy za oficera, który postarzał w obozach, zachowując siłę i czerstwość.

Przeszedłszy kawałek ogrodu, Vauquelas obejrzał się i widać uznał, że miejsce to nie jest dość bezpieczne, gdyż rzekł do Coursegol'a:

— Lękam się czy te drzewa nie mają uszu, a nikt nie powinien słyszeć tego, co ci mam powiedzieć, i zwrócił kroki ku kawiarni Corrazza.

Weszli,—w sali zakładu było pełno gości, jedni czytali dzienniki, inni rozprawiali o tem i owem; gwar i wrzawa nie ustawały. Widać Vauquelas miał tu swoje przywileje, bo przeszedłszy salę zbliżył się do stojącego za komtuarem gospodarza, który w téj chwili poprowadził go wraz z Coursegol'em do małego gabineciku, i tam pozostali sami.

— Już kilka miesięcy rozmyślam nad tem co ci powierzyć zamierzyłem. Od pierwszego poznania zwróciłeś moją uwagę, obserwowałem cię bacznie i jestem przekonany, że w zupełności odpowiadasz moim zamiarom, których dotąd jedynie dla braku godnego zaufania wspólnika wykonać nie mogłem. Uważałem jak przezornie i z zimną krwią przystępujesz do interesu,—właśnie takiego wspólnika mi potrzeba; jeśli przystaniesz na moją propozycję, obaj się zbogacimy.

— Słucham cię, obywatelu Vauquelas, z góry jednak uprzedzić cię muszę, że jeśli zamiary twoje nie są czyste i uczciwe, nie powierzaj mi ich, bo w takim razie za żadną cenę nie zostałbym twoim wspólnikiem.

— Sam osądzisz, obywatelu, odrzekł Vauquelas, nie obrażając się zastrzeżeniem Coursegol'a. W przeszłym miesiącu Rzeczpospolita wydała postanowienie, mocą którego wszelkie dobra i majątki emigrantów, zostają skonfiskowane na rzecz narodu. Wyrok ten został wykonany niezwłocznie, i dziś już rząd posiada bardzo wiele dóbr narodowych, które postanowił sprzedać. Tak więc dobra te staną się własnością najróżnorodniejszych ludzi, zostaną podzielone na części i cząsteczki, a gdy dawniejsi ich właściciele wrócą kiedyś do Francji, nie będą mogli niczem udowodnić praw swoich i majątki nigdy nie wrócą w ich posiadanie. Otóż pomyślałem sobie, że ktoby zakupywał dziś te dobra, zrobiły zarazem dobry interes i dobry uczynek.

— Jakto? zapytał Coursegol, który bardzo uważnie słuchał Vauquelas'a.

— Zaraz ci to wytłomaczę. Interesem wywłaszczonych właścicieli jest, aby dobra ich sprzedane były na jak najkorzystniejszych warunkach dla nabywców, i utrzymywane przez tychże w jak najlepszym stanie. Jakże bowiem będą szczęśliwi, gdy znajdą dobra swoje w ręku biegłych administratorów, dobrze rządzone i utrzymywane, i odzyskają je za prostym zwrotem kosztów nabycia.

Coursegol zamyślił się, i odpowiedział po chwili:

— Prawda, byłaby to operacja bardzo uczciwa,— nie rozumiem tylko co byś na tem zyskał, jeśli skupując dziś choćby jak najtaniéj dobra skonfiskowane, odprzedawał je później właścicielom za tęż samą cenę?

— Rzecz prosta, kupując płaciłbym assygnatami, a sprzedając żądałbym gotówki.

Dobitne to objaśnienie wypowiedział z tryumfującą miną, a po chwili, jakby uprzedzając nowe zarzuty, dodał jeszcze:

— Dziś już assygnaty bardzo spadły; mając pięćdziesiąt tysięcy franków gotówką, można kupić ich na dwa kroć tysięcy nominalnéj wartości, a można być pewnym, że po wypuszczeniu nowéj emissji, kurs tych papierów więcéj się jeszcze obniży. I tak np. Rzeczpospolita sprzeda jakąś nieruchomość na przedmieściu Saint-Germain lub du Roule, za milion, jednak w rzeczywistości nabywca zapłaci za nią tylko 200,000 fr; później odprzeda ją za cenę nominalną, zastrzegając sobie tylko, aby mu zapłacono gotówką. Wszak to rzecz prosta i naturalna, i nic przeciw temu zarzucić nie można?

— I w czemże ja mogę być w tem użyteczny? zapytał Coursegol, który na myśl, że mógłby zebrać majątek dla Dolores, nie chciał odrzucać uczynionéj mu propozycji.

— Żądam małéj bardzo rzeczy, będziesz mi pożyczał swego nazwiska; jedne nieruchomości kupować będę na swoje, inne na twoje imię, aby mi nie zarzucono zbytniego nagromadzania ich w jednem ręku.

— Ale skądże weźmiemy pieniędzy?

Usłyszawszy to zapytanie, Vauquelas wstał, mówiąc bez wahania:

— Nie zatrzymam się w połowie drogi, i dam ci dowód jak nieograniczone posiadam w tobie zaufanie. Chodź ze mną!

Vauquelas liczył obecnie około lat siedmdziesiąt; zazwyczaj dochodząc tego wieku, ludzie stają się zgrzybiałymi starcami. Vauquelas stanowił wyjątek. Czas nie pochylił jego ciała, nie osłabił władz umysłowych; zachował bystrość i przytomność umysłu, siłę i ruchliwość członków ciała, wszystko zdawało się długie jeszcze zapowiadać mu życie. Oczy błyszczały ogniem, zdradzając hart duszy, którego podeszłe lata zachwiać nie zdołały. Przed rewolucją był urzędnikiem sądowym w Arras; wdowiec bezdzietny nie troszczył się o nikogo, i dla tego tak rewolucja jak terroryzm najzupełniéj były mu obojętni. Porzucił urzędowanie i przybył do Paryża, aby korzystać z każdéj sposobności powiększenia i tak już znacznego majątku.

Zamieszkał na przedmieściu du Roule, w małym odosobnionym domku, ukrytym po za murem i ogrodem, z jedyną służącą podeszłego wieku, którą przywiózł z sobą z Arras. Na pozór wiódł życie ciche i spokojne, jak starzec bliski śmierci, którego nic już nie obchodzą sprawy tego świata, i nigdy pod żadnym pozorem nie przyjmował u siebie nikogo. Wszystko tak było obmyślane, aby nigdy i niczem nie zwracać na siebie uwagi. Sąsiedzi mieli go za spokojnego starca, który smutnem zrządzeniem losu stracił rodzinę i majątek. Wychodził tylko wieczorami i późno w nocy wracał do domu. Pewnego razu jakiś *sans-culotta* zaciekawiony temi tajemniczemi wycieczkami, podejrzywał go o spiskowanie i posianowił śledzić, lecz zobaczywszy jak wszedłszy do pałacu *Égalité* witał się i rozmawiał z wielu ówczesnymi znakomitościami, którzy słuchali go z największą uprzejmością, a ztamtąd udał się wprost do jednego z najwięcéj wpływowych członków Komitetu bezpieczeństwa publicznego i bawił u niego do drugiéj w nocy, szpieg ochotnik odtąd najmocniéj był przekonany, że Vauquelas jest agentem tajnéj poli-

cji i Komitetu, i jakoś od téj chwili nikt już ani pomyślał śledzić go i podejrzywać.

Takim był człowiek, który zauważywszy rzadką poczciwość i wrodzony spryt Coursegol'a, wybrał go na powiernika. Wyszedlszy razem z kawiarni Corrazza, wsiedli do kabryoletu i Vauquelas kazał jechać na róg przedmieścia du Roule; tam zapłacił i odprawił woźnicę, poczem skręcił w małą wązką i ciemną ulicę, a otworzywszy furtkę w murze weszli do ogrodu i zapuścili się w cienistą lipową aleję, w pośrodku której zastąpił im drogę ogromny pies szczekając i ujadając. Vauquelas uspokoił go jednem słówkiem, poczem rzekł z uśmiechem:

— Oto mój wierny stróż, w jakimś złym razie umiałby się oprzeć całéj bandzie złoczyńców.

Weszli do domku, którego drzwi otworzyła im stara służąca. Vauquelas rzekł jéj:

— Przynieś mi latarkę i idź spać, moja stara, już mi nie będziesz potrzebna.

Służąca spełniła rozkaz; Vauquelas wziął przyniesioną latarnię i wyprowadził Coursegol'a z salonu. Przeszli kilka ubogo bardzo umeblowanych pokoi i nareszcie weszli na ciemny korytarz, w końcu którego były drzwi mocno okute. Vauquelas dobył klucz z kieszeni i otworzył je; wtedy ukazały się wązkie kręcone schody prowadzące do piwnicy.

— Oto moja piwnica, rzekł do Coursegol'a, a doprawdy wcale nie źle jest zaopatrzona.

I prawdę mówił; pełne beczki i butelki stały rzędem około muru lub na pułkach; Coursegol patrzył nie pojmując po co go tu Vauquelas sprowadził, jeśli tylko te zapasy wina miał zobaczyć.

— Zapytywałeś mnie, rzekł po chwili Vauquelas, czy mam dostateczną gotówkę do prowadzenia interesów o których ci wspomniałem,—otóż sam osądzisz.

To mówiąc pochwycił jakieś niby przypadkiem leżące tu narzędzie ogrodnicze, odrzucił niem ziemię i odsłonił czworograniastą kamienną taflę, w środku której przytwierdzone było metalowe kółko, do podnoszenia.

— Patrz! zawołał.

Coursegol pochylił się i spojrzał. Za odsunięciem kamiennéj tafli ukazała się żelazna skrzynia, zapełniona workami srebrnych i złotych pieniędzy. Worki były niezwiązane, złoto i srebro błyszczało przy świetle latarni, przyciągając wzrok migotliwym blaskiem. Przez chwilkę Vauquelas bawił się zadziwieniem Coursegol'a, lecz nie dojrzał na jego twarzy ani śladu zazdrości lub pożądliwości. Widok takiego bogactwa zadziwił, może nawet olśnił Coursegol'a, ale żadnéj złéj myśli nie zbudził w jego umyśle lub sercu. Vauquelas odetchnął swobodnie. W téj chwili poddawał on stanowczéj próbie człowieka, któremu miał zaufać. Po chwili rzekł:

— Jest tu dwa miljony franków.

— Czy tak? i pieniądze te są twoją własnością,

— Tak jest.

— I mimo to chcesz być jeszcze bogatszym; i jeszcze pomnażać swoje skarby?

— Tak, bo to dla mnie kwestja życia lub śmierci. Gdybym przestał pracować, umarłbym niewątpliwie, jestem tego pewny; a ja chcę żyć.... jakaż to miła rzecz życie!...

Nastała chwila milczenia. Vauquelas pieścił swoje skarby czułem, zachwyconem spojrzeniem, nareszcie rzekł znowu:

— Zresztą powiedziałem ci, że oprócz zbogacenia się, spełniać będziemy dobre uczynki. Zakupimy kilka z tych pięknych pałaców na przedmieściu Saint-Germain, których właściciele wyemigrowali a naród je skonfiskował. Inni nabywcy zniszczyliby je i zrujnowali, my przeciwnie utrzymamy je w porządku, podniesiemy ich wartość i gdy dawni właściciele zapragną znów objąć je w posiadanie, zastaną swoje apartamenta, jak gdyby je wczoraj opuścili. Zwrócą nam chętnie poniesione koszta, a nadto wieczną wdzięczność zachowają w sercach. No! teraz decyduj się, czy chcesz lub nie, zostać moim wspólnikiem, drugim mną?

— Niech i tak będzie, odrzekł Coursegol.

— Czy umiesz pisać? zapytał Vauquelas.

— Bardzo źle.

— To nie dobrze. Chciałem abyś prowadził rachunki i rejestra naszych operacji, tym sposobem uniknęlibyśmy nieprzyjemności przypuszczania jakiegoś piszczyka do naszych tajemnic. Ja sam pisać nie mogę, mam wzrok bardzo słaby.

— Sprobuję, odrzekł Coursegol, ale w tem nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Mam co nam trzeba! zawołał. Ty, jak mówisz nie możesz pisać, ja bardzo źle wywiązałbym się z tego zadanie, ale możemy pracę tę powierzyć mojéj córce.

— Twojéj córce! nic nie wiedziałem, że masz żonę.

Coursegol milczał chwilę; wahał się co ma zrobić; nareszcie rzekł:

— Ufność za ufność; i ja także powierzę ci moją tajemnicę.

I w krótkich słowach opowiedział mu historję Dolores, któréj dziś jest jedynym opiekunem. Wysłuchawszy go Vauquelas zawołał:

— Doskonale! Dolores będzie naszym sekretarzem! O ta nas nie zdradzi!

Poczem zamknął skrytkę zawierającą jego skarby, i oba wrócili na górę, gdzie długo jeszcze rozmawiali o swoich zamiarach; nareszcie około północy Coursegol pożegnał przyszłego wspólnika i powrócił do domu.

W ośm dni późniéj Dolores i Coursegol opuścili dom Bridoul'ów i przenieśli się na mieszkanie do Vauquelas'a. Smutne to było rozstanie, bo Dolores przywiązała się szczerze do tych poczciwych ludzi, których ciche cnoty głęboki budziły w niej szacunek...

VIII.

W miesiącu Wrześniu 1793 r. około dziesiątéj rano, młoda dziewica w żałobnéj sukni ukazała się w progu ładnego domku leżącego w okolicach Londynu. Szła zwolna ze schodków bogatego przedsionka; przeszedłszy przez ogród stanęła przed kratą, po za którą widać było szeroki gościniec, i otworzywszy drzwi wytężyła wzrok ku drodze wiodącéj do Londynu.

Brunetka, szczupła, średniego wzrostu, dziewica ta nie była pięknością, ale ładna, milutka jéj twarzyczka miała w sobie coś pociągającego. Eleganckie ruchy, białe rączki, delikatne rysy i pełna wdzięku nieśmiałość rozlana w całéj osobie, znamionowały dziewczę wzrosłą w dostatkach i starannie wychowaną. Spojrzawszy na powabne dziewczę, łatwo było odgadnąć, że nie ma jeszcze lat dwudziestu, tyle było młodzieńczego wdzięku w całéj jej postaci, a gorączkowy niepokój malujący się w jéj błękitnych oczach nie pozwalał wątpić, że oczekiwała ukochanego.

— Może nie przyjdzie? wyszeptała.

W tejże chwili jak gdyby odpowiadając na te słowa, odezwał się głos łagodny:

— Uspokój się, kochana panno Antonino, pan Filip zapowiedział na dziś swoje odwiedziny, ale nie oznaczył godziny, a jeszcze tak rano... bądź pewna że przyjdzie.

Słowa te wypowiedziane były po angielsku przez kobietę już nie młodą, miléj i sympatycznéj powierzchowności. Przyszła pocieszyć i uspokoić Antoninę, która odpowiedziała z pewnym odcieniem goryczy w głosie:

— Chcę wierzyć że dziś przyjdzie, dobra moja pani Reed, ale czyż nie mam powodu się niepokoić? wszak już trzy tygodnie nie był.

—Czyż nie wiesz jak ważne interesa zatrzymują go w Londynie?

Antonina smutnie potrząsła głową, i raz jeszcze rzuciwszy na drogę smutne wejrzenie, zwróciła się ku domowi. Pani Reed szła obok niéj i starała się zająć ją rozmową, aby choć na chwilę zapomniała smutnych myśli dręczących jej duszę z powodu długiéj nieobecności Filipa. Obie kobiety weszły do niewielkiego, skromnie umeblowanego saloniku, z którego okien widać było rozkoszny, w około roztaczający się krajobraz. Tu zasiadły przy stoliku nakrytym do skromnego śniadania. Jednocześnie otworzyły się drzwi przyległego pokoju i wszedł pan Reed, pan domu i właściciel téj willi. I on także, równie jak żona jego, miał poczciwą, bardzo ujmującą powierzchowność...

— No! panno Antonino, zawołał dobrodusznie, popijając herbatę, dziś wielka radość, oczekujesz pana Filipa.

Za całą odpowiedź dziewczyna uśmiechnęła się smutnie, a pani Reed rzekła:

— Panna Antonina niepokoi się myślą, że kuzyn jej pewnie nie przyjdzie.

— Niesłusznie go posądza, odrzekł p. Reed spoglądając w okno, bo oto idzie.

Antonina zerwała się z krzesła, głośny okrzyk radości wydarł się z jéj piersi. Chciała wybiedz naprzeciw Filipa, lecz w tejże chwili drzwi się otwarły i padła w jego objęcia.

— Wszak cały ten dzień spędzisz z nami, zostaniesz zapewne na obiedzie?

— Niestety! nie mogę; odjeżdżam za godzinę.

—Opuszczasz mnie! zawołała Antonina, załamując dłonie.

— Wytłomaczę ci powód mego oddalenia.

P. Reed nie chcąc być natrętnym, ukłonił się i wyszedł.

Dwa lata minęło od chwili kiedy Filip uprowadził pannę de Mirandol ze zrabowanego i podpalonego pałacu de Chamoudrin. Opuściwszy kolebkę swego rodu, z rozdartem sercem po smutnéj śmierci ukochanego ojca, Filip zdołał po wielu niebezpieczeństwach przedrzać się do Valencyi; tam jeden dawnych z przyjaciół jego rodziny, dał mu odpowiedni zasiłek i wskazał sposób dostania się do Anglji, gdzie też udał się z panną de Mirandol.

Już wówczas znaczna bardzo liczba emigrantów francuzkich znajdowała się w Londynie, Filip zaś głównie dla tego tu przybył, iż część majątku panny de Mirandol złożona była u pewnego bankiera londyńskiego, i że z tego miasta najłatwiej mógł wtedy korrespondować z Luzianną, w któréj znaczne bardzo miała posiadłości odziedziczone po ojcu. Przybywszy do Londynu dowiedzieli się, że mieszkający tam krewni panny de Mirandol już nie żyli, jednak Filip potrafił udowodnić tożsamość jéj osoby, przez co postawił ją w możności rozporządzania swojemi funduszami i zarazem uchronił od niedostatku.

Tak upłynął miesiąc, a rozliczne wrażenia i niepokoje jakie przechodzili, nie dozwalały im zbadać dokładnie własne serca. Lecz gdy pierwsza boleść spowodowana dotykającym ich ciosem nieco się uspokoiła, gdy ochłonęli nieco po gwałtownych wstrząśnieniach, musieli mimowolnie zastanowić się nad nowem swojem położeniem.

Antonina to tylko wiedziała, że serdecznie kochała Filipa, który czyniąc zadość woli umierającego ojca, przyrzekł ją poślubić.

Filip tymczasem myślał ciągle o Dolores, przez zniesienie klasztorów uwolnionej do ślubów zakonnych. Kilkakrotnie chciał pomówić szczerze z panną de Mirandol, która pewną była że lada chwila zostanie jego żoną, ale zawsze brakło mu odwagi.

Z drugiej strony ostatnia wola umierającego ojca nieustannie stała mu na myśli, chciał więc przynajmniéj zyskać na czasie. Pod tym względem spełniły się jego życzenia.

W kilka dni po przybyciu do Londynu, miał krótką rozmowę z Antoniną. Mówił o tragicznéj śmierci ojca, wspomniał o niepokoju dręczącym serce jego z powodu niewiadomości co się dzieje z Dolores i Coursegol'em, i dał do zrozumienia, że przed ukończeniem żałoby po ojcu, zawarcie związku małżeńskiego byłoby wielką nieprzyzwoitością. Pojmując słuszność przytoczonych powodów, Antonina zgodziła się na jego żądanie. Wtedy oznajmił jéj, że muszą się rozłączyć i że już obmyślił dla niéj schronienie u zacnych ludzi w okolicach Londynu. Nazajutrz Antonina zamieszkała u pp. Reed, w ich ładnym wiejskim domku.

P. Reed był to dawny kupiec z City Londyńskiéj, który pragnąc dla siebie i żony spokoju na stare lata, sprzedał swój zakład i zamieszkał w willi pod Londynem. Oboje niemłodzi i bezdzietni, a przytem szczerze przychylni emigracyi francuzkiéj, zezwolili chętnie na przyjęcie w dom swój młodej dziewicy, za bardzo małem wynagrodzeniem. Poznawszy bliżéj młodą emigrantkę, oboje bardzo ją pokochali, tak więc pędziła w ich domu ciche i spokojne życie.

Filip pozostał w Londynie, lecz co tydzień na cały dzień przyjeżdżał do willi, gdzie uważano go za kuzyna p. de Mirandol. Były to najszczęśliwsze dla niéj chwile, lecz zbyt szybko mijały. Nie mówiono nigdy o przyszłości, bo Filip unikał tego jak najstaranniej, ale często wspominano przeszłość, czyniono różne przypuszczenia co się stało z Dolores i gdzie się obraca. Nie śmiejąc żyć nadzieją, żyli wspomnieniami.

Niekiedy panna de Mirandol jeździła z panią Reed do Londynu, odwiedzać i wspomagać biednych emigrantów; prosiła i upoważniła Filipa, który zarządzał jej dochodami, aby nikomu z proszących nie odmawiał wsparcia. Te ciche dobrodziejstwa i jałmużny, były jedyną jéj pociechą, jedyną ulgą w smutku i tęsknocie.

Jakby pragnąc zagłuszyć tajemne cierpienia, Filip rzucił się z zapałem w czynne i gorączkowe życie, jakie prowadziła wówczas większość emigrantów. Londyn był wtedy jakby miejscem umówionéj schadzki uciekających przed terroryzmem. Byli tam książęta, magnaci, szlachta, dostojnicy duchowni i wielkie damy, i wszyscy starali się zagłuszyć boleść wygnania, podsycając swe nadzieje coraz nowym żywiołem. Spiskowano przeciw Rzeczypospolitéj, marzono o wejściu do Francyi, o wyprawie na Paryż, o poruszeniach w Vendei, o śmiałym napadzie na Robespierre'a i jego stronników. Ale wszystkie te usiłowania rozbijały się o intrygi i współzawodnictwo. Wszyscy jednego pragnęli i zgadzali się co do celu, ale różnili się w wyborze środków,—stąd niezgoda i rozdwojenie dzielące to wielkie stronnictwo na tysiące maleńkich stronnictw. Kłócono się nie wiedzieć o co, godzono nie wiedzieć czemu, a zamiast działać szkalowano się i obmawiano. Emigracja francuzka przeniosła na obcą ziemię charakteryzujące ją wady społeczne: próżność, płochość i brak wyższego ukształcenia.

Kobiety wielką tu odgrywały rolę; wiele z nich urządziły salony otwarte dla emigracji; tam to zazwyczaj naradzano się, układano projekta i spiski nie dopisujące zazwyczaj w chwili wykonania. Filip nie wyłączał się od nich i prowadził równie gorączkowe życie, lecz więcéj od innych czuł i bolał nad bezsilnością swego stronnictwa. Mimo to łudził się i miotał z niem razem, bo te szamotania i wstrząśnienia dozwalały mu zapomnieć o wszystkiem co go dręczyło. Sądził, że gdy Antonina niekiedy tylko i coraz rzadziéj widywać go będzie, zapomni o nim, ale mylił się; należała ona do tych kobiet, które raz pokochawszy nigdy nie zmienią swych uczuć, a z drugiéj strony była zbyt młodą i niedoświadczoną, aby mogła poznać, że całe postępowanie Filipa dowodzi najzupełniejszéj obojętności. Przeciwnie była przekonana, że powodem jego pozornéj oziębłości jest wyłączne oddanie się sprawom kraju, i zawsze łudziła się nadzieją, że gdy te lepszy wezmą obrót, narzeczony odpłaci jéj przywiązanie równie gorącem uczuciem.

Widzieliśmy jak niecierpliwie oczekiwała Filipa, z jaką radością rzuciła się w jego objęcia, a serce zadrżało szczęściem na samą myśl, że dzień cały przepędzi z nim razem,—a tu nagle oznajmił, że odjeżdża za godzinę,

— Czy zechcesz wytłomaczyć mi powód tego nagłego wyjazdu? zapytała gdy zostali sami, a głos jéj drżał, łzy błyszczały w oczach.

— Odjeżdżam gdzie mnie obowiązek woła, odrzekł poważnie Filip.

— Obowiązek! jaki?....

— Królowa jest uwięziona w Temple i wkrótce ma być sądzona, otóż postanowiłem ją oswobodzić!...

— Sam jeden?—zakrzyknęła Antonina, przerażona myślą na jak straszne niebezpieczeństwo Filip się naraża.

— Nie! jest nas sześciu, jedziemy razem ocalić ją lub umrzeć. Statkiem dopłyniemy do brzegów Bretanji, a ztamtąd przedostaniemy się do Paryża.

— I chcecie dokonać tego tak małemi siłami? cóż znaczy sześciu ludzi?...

— Bóg będzie z nami, odrzekł z zapałem Filip, a zresztą w Paryżu znajdziemy wielu przyjaciół, którzy chętnie połączą się z nami.

Widząc, że postanowienie Filipa jest niewzruszone, Antonina nie umiała zapanować nad bolesnem wzruszeniem; zbladła, zakryła twarz rękami, i głośnym wybuchła płaczem.

— Uspokój się, droga przyjaciółko, rzekł łagodnie Filip.

— Ach! czemuż prędzéj nie dałeś mi poznać tego szalonego przedsięwziecia, które do niechybnéj powiedzie cię zguby. Odjeżdżasz, opuszczasz mnie, nie troszcząc się co się ze mną stanie, gdy zostanę sama jedna, pozbawiona twéj opieki. Ani pomyślisz jak straszną będzie boleść moja z powodu tego rozłączenia. Ach! ty nie wiesz, że nie przeżyłabym twéj śmierci....

Wzruszony taką boleścią, Filip ujął jéj dłonie, mówiąc:

— Najpierw, droga Antonino, uspokój się, nie przypuszczaj smutnych myśli, wierz temu, że wrócę i zobaczemy się niedługo; a potem zastanów się tylko, a poznasz iż niepodobna mi cofnąć się, gdyż okryłbym się niezmuszoną hańbą. Powiedz sama, czyż chciałabyś zostać żoną człowieka, który nie umiał spełnić swego obowiązku, którego każdy miałby prawo nazwać nikczemnym tchórzem? Królowa była niegdyś moją protektorką, czyliż sama wdzięczność nie nakazuje mi starać się ją ocalić?

— Lecz możesz stracić życie!

W słowach tych odbiła się cała miłość dziewczyny; Filip był wzruszony; ukląkł, pocałował jéj rękę i rzekł z przekonaniem, które i w nią przelać pragnął:

— Nie obawiaj się, powrócę,—a widząc jéj smutek i rzęsiste łzy spadające z oczu, uczuł jakby wyrzut sumienia, iż tak serdeczną miłość odpłaca obojętnością, i dodał czulszym głosem—a wtedy nic już nie przeszkodzi mi spełnić wolę mego nieodżałowanego ojca.

Pierwszy to raz wspomniał o swojem zobowiązaniu, a proste te słowa stały się dla Antoniny prawdziwą pociechą w jéj strasznéj boleści.

— Nie mam prawa zatrzymywać cię, rzekła po chwili, jedź, niechaj Bóg czuwa nad tobą i błogosławi twym zamiarom! Obyś powrócił jak najprędzéj, ja nie przestanę modlić się za ciebie.

I jeszcze czas jakiś rozmawiali z sobą. Filip objaśnił pannę de Mirandol o stanie jéj majątku, i oznajmił, że zarząd i opiekę nad nim powierza tymczasem p. Reed, któremu może zaufać najzupełniéj. Następnie prosił, aby przyzwała pp. Reed, żeby mógł ich pożegnać. Gdy weszli do salonu, podziękował im serdecznie za ich przywiązanie do p. de Mirandol, którą i nadal ich rodzicielskiéj powierzał opiece, i po raz pierwszy oznajmił im, iż jest jego narzeczoną. Ożywiona tak upragnioną nadzieją, młoda dziewica zapominała teraźniejszości i żyła marzeniem przyszłości.

Jednak po odjeździe Filipa, straszny niepokój miotał jej sercem. Pojmowała dobrze, na jak groźne narażał się niebezpieczeństwo, a pogłoski obiegające lądy, nie mogły się przyczynić do jej uspokojenia. Znając z gazet niezmordowaną czujność i mściwość Komitetu bezpieczeństwa publicznego, drżała nieustannie o życie ukochanego. Myślała o nim ciągle, probowała odgadywać co się z nim dzieje i gdzie się obraca, lub znowu oczekiwała listu któryby uspokoił jéj obawy. Daremnie, żadnej nie odbierała wiadomości, a modlitwa jedyną jej była ulgą.

Pan Reed szczerze przywiązany do młodéj dziewicy, jeździł często do Londynu i najświeższe przywoził jej wiadomości. Dnia 22 października wbrew zwyczajowi swemu powrócił bardzo późno. Antonina oczekiwała go z niewysłowioną niecierpliwością, smutne przeczucia rozdzierały jej serce. Gdy nareszcie wszedł do pokoju, wyczytała w twarzy jego bolesne jakieś wzruszenie.

— Przywozisz mi złe wieści! zawołała.

Nie miał siły zaprzeczyć—wkrótce powiedział jéj, że nieszczęśliwa królowa Francji została gilotynowaną dnia 16 października.

— Co! zamordowali królowę! zawołała przerażona.

I w téj chwili przyszło jéj na myśl, że skoro królowa śmierć poniosła, więc zamiary Filipa nie powiodły się i że odkryto i uwięziono spiskowców. Śmiertelna bladość pokryła jéj lica, zachwiała się i padła w objęcia pani Reed, która powstała prędko aby ją podtrzymać.

— O! powiedz mi wszystko co wiesz! zawołała załamując dłonie.

— Niestety! wiem bardzo niewiele, odrzekł; powiedziano mi tylko, że w dniu 16 października królowa została skazana na śmierć, i tegoż dnia wyrok został wykonany. Daléj, że wiele osób zostało uwięzionych, a to na mocy oskarżenia, iż spiskowali w celu uprowadzenia królowéj i obsadzenia syna jéj na tronie.

— O! to aż nadto, zawołała; Filip jest aresztowany, a po chwili milczenia, dodała: muszę jechać!

— Jechać! zawołali jednocześnie państwo Reed, a toż na co?

— Aby się połączyć z Filipem.

(d. c. n)

Opis do N. 35.

(Dalszy ciąg opisu N. 8)



N. 2. Muślinowa chusteczka z koronką irlandzką. Plecy do ryc. 1.

Tło pasa powinno być tego co obicie na meblach koloru; sukno zastąpić można rypsem jedwabnym lub wełuianym. Brzegi wycina się w maszynie w ząbki, następnie w odstępie 7 cent. naszywa się na pasie 9 medaljonów, które ryc. 19 podaje w naturalnéj wielkości. W jednym z następujących N-ach Tygodnika, zamieścimy deseń arabeski, którą wyszywa się sutaszem perełkowym, w odstępach między medaljonami. Medaljony białe sukienne są wycięte w okrągłe zęby, i rzadko przydziergane do tła, kordonkiem czarnym. Listki czarne aksamitne podkleja się papierem, nastęnie przyszywa kordonkiem pomarańczowym; gałązki robione są ściegiem cierniowym, kordonkiem zielonym do cieniu. Różno kolorowe, wypukło odstające kwiaty układane są z plecionki; na duży kwiat przeszywa się przed igłą środkiem w gzygzak, kawałek plecionki mający 20—25 c. długości, to przeszycie przyciągnięte tworzy listki, które układa się w koło i przyczepia do tła jedwabiem, tego co plecionka koloru. Z końców plecionki układa się w środku kwiatu odstające węzły. Pączki składają się z dwóch listków z plecionki, które wszywa się w kielich z zielonéj plecionki zrobiony. Zwracać potrzeba baczną uwagę ażeby kolory kwiatów były w każdym medaljonie harmonijnie dobrane. Wyszycie na tle pąsowym, w koło białego medaljonu, dane jest kordonkiem czarnym i maisowym, ściegiem długim, przewłóczonym. Podszewka przystębnowana jest kordonkiem maisowym, którym także wstębnowane są w końcach pręciki żelazne. Ucho do zawieszenia pasa robi się ze sznura pokrytego wstążką i przyozdabia rozetą ułożoną ze wstążki.



N. 1. Muślinowa chusteczka z koronką irlandzką. Patrz N. 2 i 15.



N. 3. Tiulowa chusteczka przybrana z tyłu kokardą.



N. 4. Chusteczka muślinowa ozdobiona haftem. Patrz N. 12 i 13.

N. 9—10. Wstawka

i szlaczek z koronki, robionéj z plecioneczki bawełnianéj i kratek.

Robota wstawki i koroneczki jest bardzo łatwa, nie zmudna, a jednak ładnie wygląda przy sukniach białych lub écru, płóciennych albo perkalowych.

Chcąc mieć koronkę żółtawego koloru, trzeba po skończeniu ufarbować ją w kawie. Odrobiona z plecionki wełnianéj i cienkiéj włóczki tego co suknia koloru, doskonale zastąpi tak drogą i modną koronkę wełnianą. N. 9 odrobiony z cienkiéj plecionki i cienkich nici białych, stanowić



N. 5. Tiulowa bluzka z gorsecikowym stanikiem i tunika.



N. 6. Ubran'e spacerowe z vêtement. Plecy do ryc. 18 w N. 34.

będzie ładną barbkę na głowę a N. 10 ładne oszycie do rękawów i kołnierzyka albo do chusteczki.

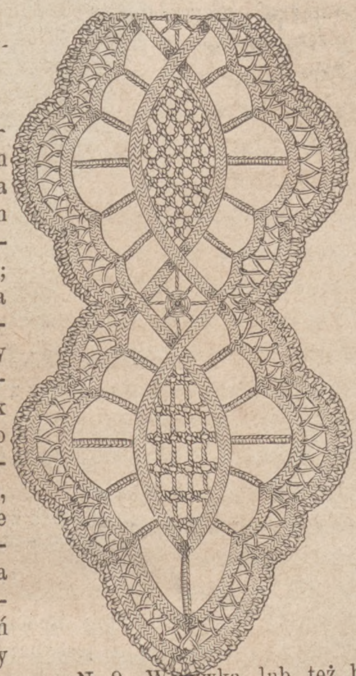
N. 11. Pas

haftowany do czepeczka ryc. 16 w N. 34.

N. 12—13. Szlaki

wywodzone i wyszywane na tiulu.

N. 12. odrobiony jest sposobem wywodzonym, na cienkim bruxelskim tiulu, nićmi płaskiemi świecącemi; sposób wywodzenia dokładnie na próbce wskazany. Zęby z brzegu, są najpierw podług oczek wycięte i dopiero dwa razy dla mocy wywiedzione, następnie dodaje się ząbki koronkowe, których robota dawno już była opisywaną. Deseń ten może być użyty na wstawkę, lecz w takim razie potrzeba dodać zęby z drugiéj strony. Ten rodzaj koronki bardzo jest właściwy do sukien letnich do chusteczek lub rękawów.



N. 9. Wszywka lub też barbka. Koronka irlandzka z gładkiej plecioneczki. Patrz N. 10.

N. 13. Wyszycie

na tiulu grosbotowym.

Odmienny od poprzedzającego sposób wyszywania, wykonywa się bawełną od haftu N. 40 i nićmi N. 80, rodzaj ściegów wskazany wyraźnie na próbce. Zęby przed dzierganiem powinny być parę razy wywiedzione bawełną.

N. 14. Haft

gipiurowy z sutaszem jedwabnym perełkowym do sukni N. 6.

N. 15. Garnirunek

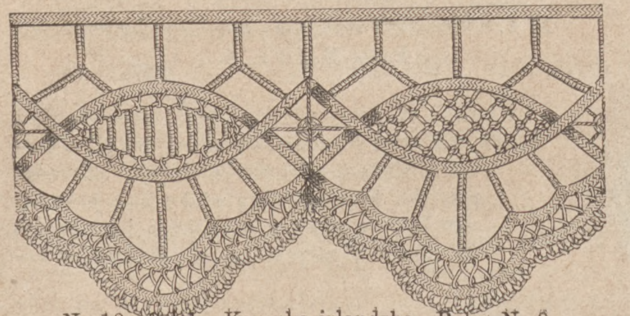
do chusteczki N. 1—2. Robota koronkowa.



N. 8. Medaljon do N. 7. Aplikacja z aksamitu, sukna i plecionki jedwabnéj.



N. 7. Pas do dzwonka. Aplikacja z aksamitu, sukna i plecionki jedwabnéj. Patrz ryc. 8.



N. 10. Szlak. Koronka irlandzka. Patrz N. 9.

N. 16—17. Próbki ściegów

na tło do pantofli, poduszeczek lub t. p. Robota krzyżowa.

N. 16. Tło w proste pasy.

Deseń odrabia się dwoma cieniami jakiego jasnego koloru na tle czarnym, następnie jaśniejsze ściegi obwiedzione są jedwabiem maisowym.

N. 17. Tło w deseń skośny.

Skośno idące kwadraty z 4 czarnych krzyżyków, przyozdabiane są supełkami z kordonku jasno pąsowego. Kwadraciki które je przegradzają, składają się z 4-ch skośnych, w środku schodzących się ściegów fijołkowych lub zielonych, przewiązanych krzyżem z jedwabiu maisowego.



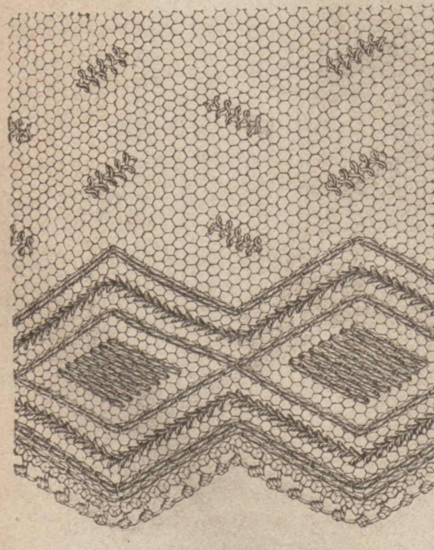
N. 11. Haft do czepeczka rannego ryc. 16 w N. 34.

N. 18—20. Ramki do kalendarza.

Mozajka z szyszek sosnowych, jodłowych i z żołędzi. Podczas spacerów leśnych, bardzo łatwo zaopatrzyć się w materjał do téj taniéj i łatwéj roboty, która starannie wykonana, wydaje się jednak bardzo ładnie.

Umiejętnie dobrane rozmaite szyszki i nasiona drzew, posłużyły do ułożenia deseniu na ramkach do kalendarza. Przysposobione materjały trzeba rozebrać i starannie wymyć ciepłą wodą i szczoteczką, a następnie podług dobranego deseniu przyszywać i układać, dopókąd są miękkie skutkiem moczenia.

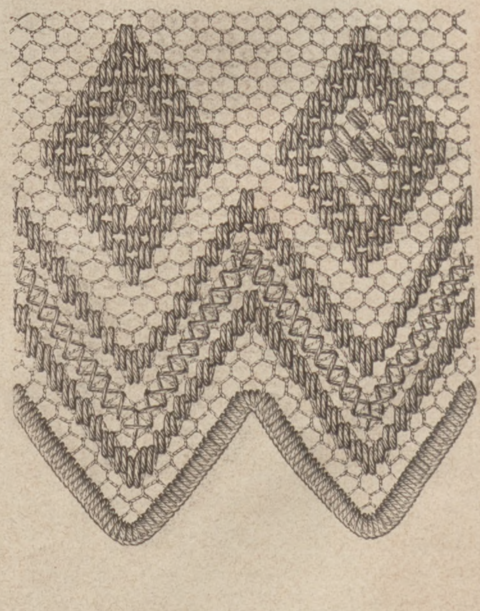
Podstawę roboty stanowi ramka z mocnéj i sztywnéj tektury mająca w środku 36, z brzegów 24 cent. wysokości, a 35 centym. szerokości, któréj brzegi wycina się w sposób na rysunku wskazany, a w środku zostawia kwadratowe miejsce do założenia kalendarza. Kwadrat ten ma 10 — 11 cent. szerokości, a 5 — 6 cent. wysokości. Do ramek przyszywa się szyszka i nasiona jedwabiem brązowym. Układ pojedyńczych listków szyszek, pokrywających dół i brzegi ramek wyraź-



N. 12. Wyszycie na tiulu. Brzeg zakończony ściegiem koronkowym.

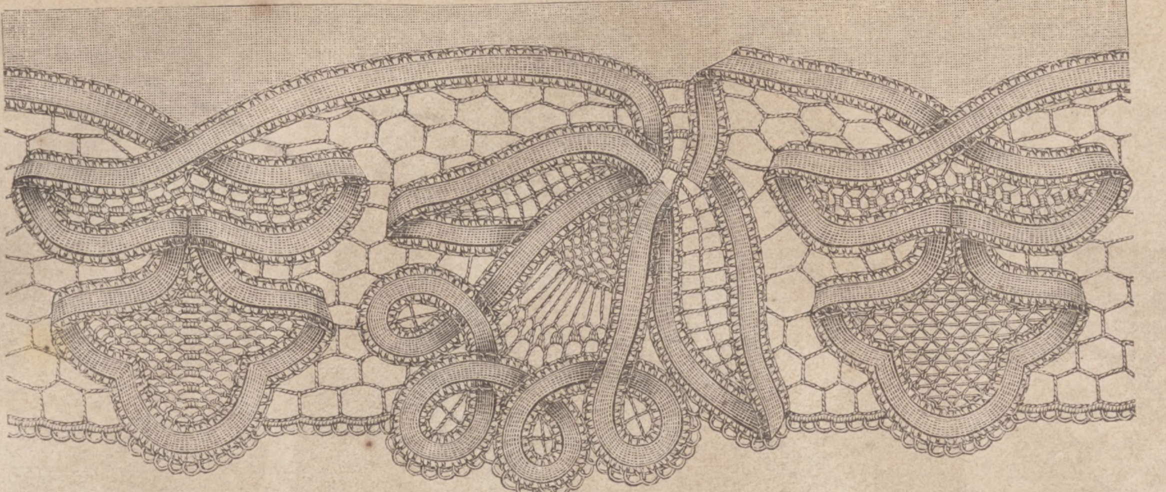


N. 14. Haft gipiurowy z sutaszem do sukni N. 6.

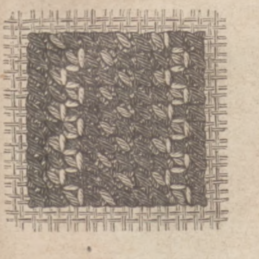


N. 13. Haft na tiulu.

nie wskazany jest na ryc. 18. Na deseń wypukły naśladujący rzeźbę, zakłada się na drucik pojedyncze listki od osady orzechów i żołędzi, listki i nasiona sosnowych i jodłowych szyszek na pół przekrawane, całkowite żołędzie, orzechy bukowe inne tym podobne z których utworzone liście i kwiaty przykręca się następnie do grubego drutu i układa w kształt wieńca, dodając gdzie niegdzie wąsy z drutu owiniętego jedwabiem i skręconego na cienkim wałeczku. Formy liści dębowych różnéj wielkości wycina się z cienkiej tektury, podług wzoru N. 20 podanego z lewéj strony i naszywa rzędami listków szyszek, sposobem na rycinie 19 wskazanym. Środkową żyłkę liścia stanowi drut jedwabiem okręcony, którego koniec przebiwszy tekturę załamuje się z lewéj strony, poczem każdy liść podkleja się papierem orzechowym. Wykończony wieniec przyszywa się jedwabiem do ramy, do wieszania któréj służy uszko z drutu, pokryte pojedynczymi listkami szyszki sosnowéj, którego końce druciane przetyka się przez tekturę i przygina z lewéj strony. Po wykończeniu, podkleja się od spodu całą ramę papierem ciemno orzechowym lub brązowym, a zwierzchu lakieruje pokostem orzechowym pociągając niektóre żołędzie, nasiona i wąsy z drutu, złotą i srebrną farbą, rozpuszczoną na małych muszelkach. Środkowy nie pokryty kwadrat tektury, przecina się poprzecznie u dołu i w górze dla wsunięcia kalendarza.



N. 15. Szlak do chusteczki. N. 1. Koronka irlandzka.



N. 16. Tło w proste paski do pantofli, poduszeczek i t. p. Robota krzyżowa.



N. 18. Ramka do kalendarza. Mozajka z szyszek, żołędzi i t. p. Patrz N. 19—20



N. 19. Liść dębowy do N. 18. Wierzch.



N. 21. Kaftanik do rannego ubrania patrz N. 22.

N. 21—22. Ubranie ranne

złożone z kaftaniczka i spódnicy.

Kaftanik kraje się podług zwykłéj puszczanéj formy, i mieć powinien z przodu 48 z tyłu 58 cent. długości a 140 dolnéj szerokości. Spódnica robi się do ziemi albo trochę powłóczysta. Całe ubranie może być odrobione z białej albo żółtawéj piki. Dół i rękawy kaftanika N. 21 oszyte są falbaną muślinową 10 c. szeroką, którą u dołu zdobi stębnowany obrąb i 3 wązkie zakładki. W górze falbana zakończona, jest nagłówkiem przeszytym stębnowaną pliską. Wykrój pod szyją oszyty fryzką muślinową 4 cent. szeroką; oprócz falbany, kaftanik wyszyty jest białym sutaszem albo ściegiem sznureczkowym, białą bawełną i czarnym jedwabiem.

Przy spódnicy pod N. 22 podanéj, garnirunek odpowiedni kaftanikowi, składa się z dwóch falban muślinowych i wyszycia.



N. 24. Szydełkowa koronka z mignardise.

23. Szlak

wyszywany do spódnic, kaftaników lub t. p.

Szlak taki odrobiony być może na flaneli albo pice kolorowéj, jedwabiami albo włóczką innego lub tego samego koloru co tło, do cieniu. Rodzaj ściegów wyraźnie wskazany jest na rysunku. Zęby wycięte są w maszynie. Podobne wyszycie może być dane na samej spódnicy u dołu, albo na marszczonéj falbanie.



N. 23. Oszycie haftowane do spódnic, kaftaników i t. p.

N. 24. Koronka

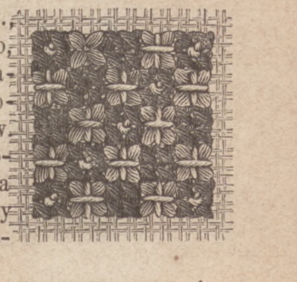
szydełkowa z plecionką mignardise.

Od góry plecionka obrobiona jest pół słupkami branemi w każdy pikot i przedzielanemi 1 o. pow. Od dołu robić 1 o. śc. w pierwszy pi., 8 o. pow., 1 o. ści. w 4ty pikot.

N. 25. Koronka szydełkowa

z nawijanemi pikotami.

Zaczyna się od * 14 o. pow., z których dwa pozostaje luźno, a 12 łączy się w kółko i obrabia 3 pikot. z 4 o. pow. złączonych 1 o. śc. w pierwsze pow 3-ma do oczek kółka przyrobionemi pik., nawijanemi, na które zakręca się nitka koło igły 10—12 razy i przewłóczy jedną pentelką oczka.



N. 17. Tło w skośne paski na pantofle poduszeczki i t. p. Robota krzyżowa.

N. 26. Sukienka

dla dziecka noszonego na ręku.

Stanik kraje się podług formy podanej do ryc. 13 w N. 32 Tygodnika, spódniczka ukrojona osobno ma 98 c. długości a 206 szerokości. Garnirunek białéj batystowéj sukienki stanowią pasy podłużne, złożone z paska skośnego zaszytego w wązkie zakładki, przedzielane kratką ażurową wyciąganą, ze wstawki koronkowéj lub gipiurowéj przystębnowanéj pliskami, z koronki i wązkiego haftowanego szlaczka z obydwóch brzegów przyszytych. Pasy te na środku, z przodu i z tyłu, wszywają się w jednym ciągu, przez stanik i spódnicę, z przodów dodane są drugie rzędy zakładek, stanowiące na staniczku garnirunek w kształcie napierśnika, z brzegów którego naszyte są bretelki, marszczone na ramionach, złożone z paska batystowego, wstawki i koronki. Bretelki mają 5 i pół cent. szerokości w środku, a około 4 cent. z brzegów. Takaż falbanka 5 cent. szeroka, zastępuje krótkie rękawki. Okrągły wykrój szyi, oszyty jest wstawką, szlaczkiem i koronką.



N. 20. Liść dębowy do N. 18 Spód.



N. 22. Spódniczka do rannego ubrania. Patrz N. 21.

Sukienka zapina się z tyłu na guziki i dziurki zrobione w listewce, dodanéj w tym celu pod szlaczkiem haftowanym i koronką. Z obydwóch boków spódnicy od góry do dołu, wszyte są także pasy garnirunku.

N. 27. Łyczkowy kapelusik

dziecinny, pokryty muślinem.

Łyczkowy biały kapelusik pokryty jest gładko białym muślinem; na główce, muślin jest



N. 25. Szydełkowa koronka z nawijanemi węzłami.

w jedną stronę fałdowany, tak na wszyciu główki jak w koło na rondku naszyta suta riusza z muślinu wycięta w ząbki. Z boku przypięta kokarda z czarnéj 1 i pół cent. szerokiéj aksamitki, któréj układ widoczny na rycinie.

N. 28. Kapelusik
z nanzuku albo batystu.

Kapelusz zwykłéj formy pameli z białego, żółtawego, lub szarego batystu albo nanzuku, robi się na sztywnéj podszewce z muślinu. Środkiem przymarszczona i w rurki ułożona riusza muślinowa, przyszyta jest do brzegu rondka. Szarfy z kolorowéj wstążki na środku rondka kokardą przypięte, z tyłu są na lekki węzeł przewiązane. Biała elastyka przytrzymuje na głowie kapelusik.



N 26. Sukieneczka dla maleńkiego dziecka.



N. 27. Łyczkowy kapelusik pokryty muślinem!

N. 29. Stanik
z kamizelką i wykładanemi klapami podany z przodu do ryc. 25 w N. 34 Tygodnika.



N. 29. Stanik z baskiną, kamizelką i ranwersem.

Przy tym staniku przody ukrojone są z materjału czarnego, z dodaniem pod spód kawałków w paski, stanowiących krótką kamizelkę, przyszytą od spodu do boczków. Ubranie chusteczkowe, tak dokładnie na ryc. 4 wskazane, robi się z dwóch skośnych kawałków w paski mających 48 cent. długości, w szerszym końcu 16 cent. w węższym i 10 cent. szerokości. Kawałki te zszywają się w węższych końcach śpiczasto obracają do pleców, a w szerszych idących do przodu, nieco zaokrąglają, następnie układają się na staniku w dwie wzdłuż idące fałdy, i oszywają z brzegu koronką białą 5 cent. szeroką. Szarfy 71 cent. długie, z czarnéj 7 cent. szerokiéj wstążki, przyszyte w pasie do przodów i zawiązane na kokardkę, przykrywają końce chusteczkowego ubrania. Rękawy pół szerokie, z wierzchu prawie do łokcia rozcinane, ubrane są sposobem na rycinie wskazanym, falbaną z nagłówkiem, plisą i koronką białą i czarną.



N. 28. Okrągły kapelusz z nanzuku.

N. 30—31. Stanik
z baskiną z wyrobu wełnianego Chally w rzut kolorowy. Krój jak do ryc. 17—18 w N. 32 Tygodnika.

Rycina 5 — 6 przedstawia z przodu i z tyłu suknię białą wełnianą w brązowe kwiatki. Garnirunek składa się z plisowania z brązowéj grenadiny, mającego 8 cent. szerokości na którym 5 i pół centymetrów szeroka falbanka z nagłówkiem z tego co suknia materjału, na sznureczek przymarszczona, naszyta jest w ten sposób, iż plisowanie wygląda z pod niéj z obydwóch stron. Kokardy są ze wstążki brązowéj 10 cent. sze rokiéj. Taki sam tylko stosownie rozszerzony garnirunek dany jest przy spódnicy.



N. 30. Stanik z baskiną z materji w rzucik. Przód do ryc. 31.



N. 31. Stanik z baskiną z materji w rzucik.